CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 85 17 LIPCA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

O małym, pożytecznym owadzie – trzmielu ziemnym przeczytasz na str. 4–5.

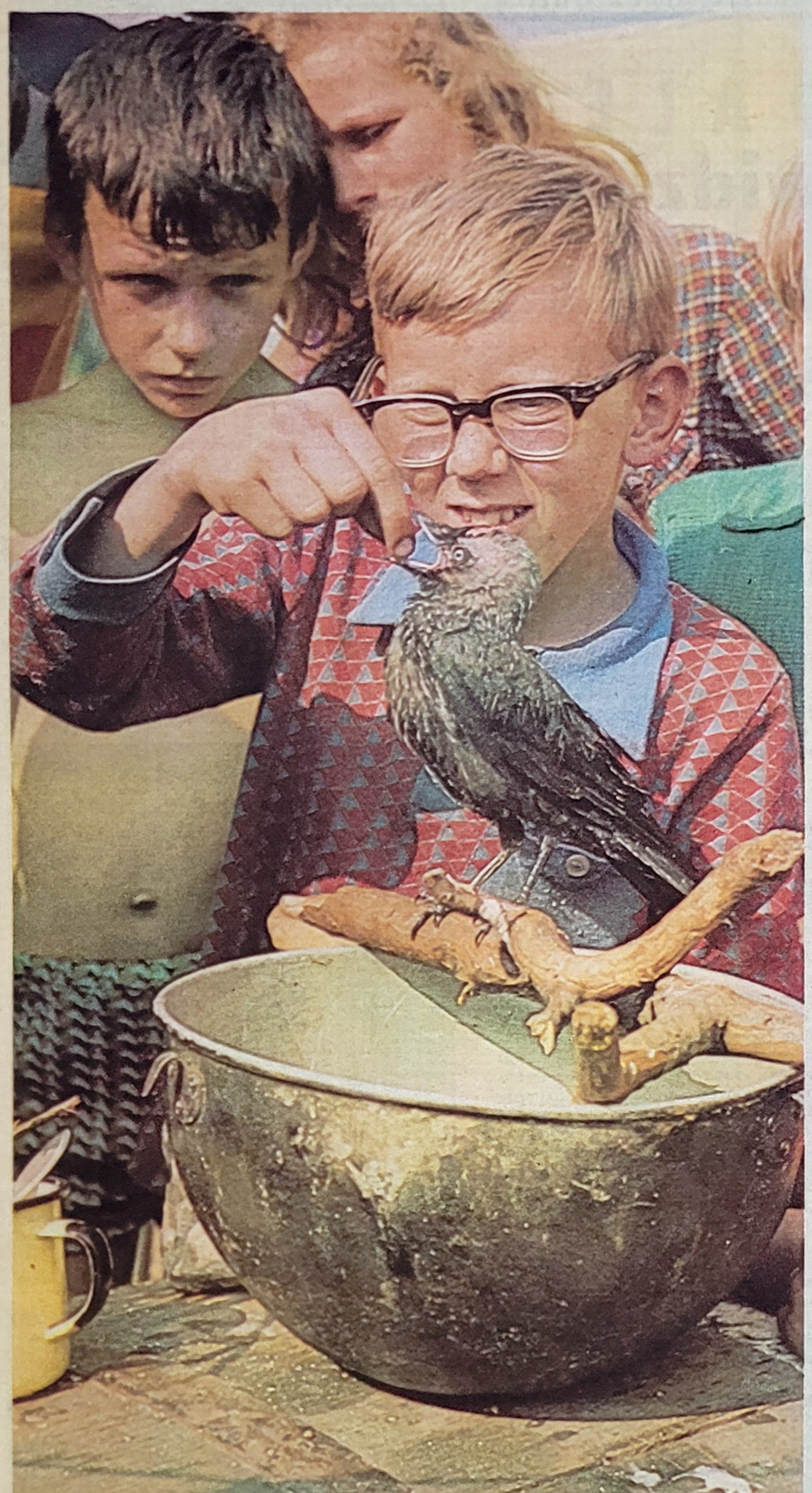

Najwięcej much dla kawki Kaśki złapał Stasiek. Jemu więc powierzono Kaśkę w opiekę.
Zdjęcie: Marek Szymański

SABAT CZAROWNIC czyli UDANY TYDZIEŃ „OPTYMISTEK"

W Puławach w Ośrodku Harcerskim nad Wisłą tradycyjnie organizowana jest Nieobozowa Akcja Letnia. Turnus trwa tutaj tydzień i są to wspaniałe „nieobozowe" dni, jak na prawdziwym obozie. Więc noclegi w namiotach, warta dzienna i nocna, apele, ogniska i wyprawy w okolicę. A jeśli jest się w zgranym zastępie...

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Zarząd Główny Polskiego Związku Esperantystów organizuje w lipcu i sierpniu br. specjalny kurs korespondencyjny języka esperanto. Co tydzień będą uruchamiane nowe grupy dla młodzieży i dorosłych. Naukę można rozpocząć w każdej chwili. Kurs ze względu na prostotę języka prowadzony będzie wyłącznie korespondencyjnie. Opłata wynosi 210 zł. Szczegółowe informacje o

WAKACYJNY KURS JĘZYKA ESPERANTO

korespondencyjnej nauce języka esperanto i ruchu esperanckim wraz z krótkim zarysem gramatyki języka międzynarodowego prześlemy bezpłatnie każdemu czytelnikowi, który napisze do Zarządu Głównego Polskiego Związku Esperantystów, ul. Jasna 6, 00-013 Warszawa.

Polski Związek Esperantystów
Zarząd Główny

Tego wyczynu dokonał 16-letni **Krzysztof Matuszewski** z Bojanowa, którego trenerem jest pan mgr **Stanisław Gorwa.**

Krzysztof zgłosił się do Zawodów Olimpijskich Talentów jako jeden z pierwszych. Jego talent i

DWA REKORDY jednego zawodnika!

forma wskazują na to, że w finale tegorocznego etapu ZOT będzie walczył nie tylko o złoty medal, ale również z... własnym rekordem.

A oto wyniki uzyskane przez tego zawodnika: bieg 3.000 m – 8:48,0 (dotychczasowy rekord Polski młodzików – 8:49,2); bieg 1.500 m – 3:59,0 (czas równy rekordowi Polski młodzików).

Okres wakacji sprzyja treningom, stwarza też wiele okazji do udziału w różnych zawodach i igrzyskach sportowych, a zatem i osiąganiu rekordowych wyników.

Krzysztofowi gratulujemy i czekamy na dalsze „rekordowe" meldunki.

Komitet Zawodów

TORUŃ (HSI). Nikt nie wiedział, co kryje się pod tajemniczym kryptonimem kolejnej wakacyjnej wyprawy „Silni jak tur, sprawni jak żbik", ale wszyscy zaciekawieni, zgodnie z rozkazem dowódcy udali się na lotnisko.

Tu czekała niespodzianka! Okazało się, że wcale nie sylwetki samolotów i szybowców będą celem wyprawy. Ważniejsza była zorganizowana w pobliżu ścieżka zdrowia, której pokonanie nikomu nie przyszło łatwo! Przejście tyłem do

WYCZYNY NA LOTNISKU

równoważni, parokrotne podciąganie się na rękach i skok wzwyż przez wysoko umieszczoną poprzeczkę okazały się trudniejsze niż z początku sądzono. Ale za parę tygodni na pewno lepsze będą i wyniki, i — dzięki temu — humory. Oraz zdrowie!

Aniela Kluczwajd

W kolejnym tygodniu Lata Entuzjastów Wędrówki nagrody HSI – torby wylosowali: **Irka Bubieńczyk** z Nietkowic, **Mariola Klityńska** z Bolesławca Śląskiego i **Zbyszek Głowacki** z Lądka-Zdroju.

DODATKOWA PRZESZKODA

NOWE GUTY (HSI). Patrolowi „Włóczykijów" bardzo przypadła do gustu WYPRAWA Z FASONEM POD RĘKĘ. Przygotowania trwały kilka dni, na trasę patrol wyruszył rano w niedzielę. Całą trasę przebyli sprawnie i bez porozumiewania się, dopiero przy zawodach sportowych stało się ono konieczne. Ale „Włóczykije" rozwiązały ten problem bez wydawania głosu – za pomocą kartki i ołówka, w które to przyrządy wszyscy przed wyprawą się zaopatrzyli. Nie wyszła im tylko, niestety, kuchnia Robinsona. Zupa była już prawie gotowa, gdy zaczął padać ulewny deszcz i wiać wiatr, nadciągnęła burza. Powrót do bazy odbył się więc w warunkach utrudnionych, jeszcze jedna przeszkoda, którą „Włóczykije" pokonały.

Tomasz Grużewski

Przede wszystkim na piechotę

POPIELÓW (HSI). Patrol „Opolskich Dziouch" wybrał się niedawno na daleką wyprawę. Jej celem było oddalone o 24 kilometry od Popielowa miasto Piastów – Brzeg. Trzy czwarte drogi „Opolskie Dziouchy" przebyły na piechotę, resztę – autostopem. W Brzegu zwiedziły zbudowany w połowie XVIII wieku kościół Św. Krzyża oraz należący do 1 grupy zabytków kościół Św. Mikołaja, jedną z największych i najokazalszych gotyckich bazylik na Śląsku. Wyprawa ta dostarczyła dziewczętom z patrolu wielu wrażeń i przeżyć.

Małgorzata Możdzioch

SPOTKAMY SIĘ W BIAŁYMSTOKU

22 lipca bieżącego roku w Białymstoku nastąpi uroczyste otwarcie IV Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Młodzi sportowcy z całego kraju walczyć będą o medale w następujących dyscyplinach: lekkoatletyce, pływaniu, piłce nożnej, ręcznej, siatkowej i koszykowej, gimnastyce sportowej, artystycznej i akrobatycznej, w podnoszeniu ciężarów, zapasach w stylu wolnym i klasycznym, kolarstwie, łucznictwie, judo, kajakarstwie, tenisie stołowym i ziemnym, szermierce, boksie oraz sportach obronnych.

Gospodarze tegorocznej spartakiady – działacze białostoccy, przygotowali bardzo starannie sportowe obiekty. M. in. zmodernizowano lekkoatletyczny stadion, kładąc nawierzchnię tartanopodobną — „sotar", wybudowano piękny tor wioślarsko-kajakowy w Augustowie oraz kompleks obiektów sportowych w Suwałkach.

Półfinały i finały spartakiady odbywać się będą nie tylko w Białymstoku. Młodzież walczyć będzie na „sportowych arenach" w Suwałkach, Augustowie, Supraślu, Hajnówce, Łomży, Mońkach, Sokółce i Olecku. Życzymy udanych startów. **(ds)**

Dziś przedstawiamy:

POWIERNICZE WYSPY PACYFIKU

— Terytorium na Oceanie Spokojnym (Mikronezja), pozostające od 1947 r. pod powiernictwem ONZ i administrowane w jej imieniu przez USA. Składają się nań archipelagi: Mariany, Karoliny, Wyspy Marshalla oraz wiele innych wysp, w sumie 2141, o łącznej powierzchni 1779 km kw. Tylko około 100 wysp jest zamieszkałych.

Ludność, licząca 114 tys. zajmuje się głównie rolnictwem i rybołówstwem. Najwięcej uprawia się tu palmy kokosowej, z której orzechów produkuje się kopre. Kopra jest też głównym towarem eksportowym. Odkryte na Karolinach złoża fosforytów, boksytów i rudy żelaza, zaś na Marianach — fosforytów, antymonu i manganu — stanowią podstawę rozwoju słabego rolnictwa. Niedaleko Wysp Mariańskich odkryto złoża ropy naftowej.

Odkryte zostały bardzo dawno przez Europejczyków, jednakże dopiero wiele lat później zasiedlone przez kolonizatorów. W latach 1885-1903 osiedlili się tu kolonizatorzy niemieccy, wsławiając się brutalnością i okrucieństwem wobec krajowców. Podczas I wojny światowej tereny te zostały zajęte przez Japończyków, którzy w 1920 r. uzyskali mandat od Ligi Narodów na zarządzanie nimi w imieniu tej organizacji. Wbrew międzynarodowym porozumieniom, Japonia pobudowała tu bazy lotnicze i morskie. Zdobycie ich przez USA w czasie II wojny światowej kosztowało życie wielu żołnierzy.

Po objęciu powiernictwa, USA rozbudowały na wyspach system baz lotniczych i morskich. Zaś atole Bikini i Eniwetok stały się poligonem doświadczalnym dla broni jądrowej.

Obszar Wysp Powierniczych dzieli się na 6 okręgów. Głównym ośrodkiem władzy jest Garapan na wyspie Saipan. Władzę wykonawczą sprawuje wysoki komisarz mianowany przez prezydenta USA. Od 1965 r. działa tu Kongres Mikronezji. Niewielką władzę posiadają także miejscowi naczelnicy plemion.

(bz)

1975 · CZŁOWIEK · KRAJ · ŚWIAT · 1975 · CZŁOWIEK

Muzyka płynie ze wszystkich stron. Zdaje się, że dobywa się z sufitu, podłogi, ścian. Słuchacz Beethovena lub, jak kto woli, Janis Joplin, znajduje się w centrum orkiestry symfonicznej lub zespołu bitowego. Kwadrofoniczny magnetofon polskiej produkcji doskonale odtwarza magnetyczny zapis. Nie, to nie pomyłka. Polska jest producentem magnetofonów kwadrofonicznych. Ewentualnych nabywców musimy jednak zmartwić. Zakłady Radiowe im. M. Kasprzaka nie podjęły jeszcze seryjnej produkcji tych aparatów. W tej chwili wytwarza się niewielkie (jak na potrzeby rynku) serie próbne. Ale za to, co roku zakłady opuszcza prawie milion magnetofonów kasetowych i szpulowych. Produkuje się tam także wiele różnorodnych elektronicznych urządzeń — oscyloskopy, głowice magnetyczne, a także nadajniki okrętowe dla naszej floty.

Taka praca wymaga dokładności, sumienności i precyzji — może właśnie dlatego wykonują ją kobiety...
Zdjęcie — CAF Jaśkiewicz

Droga do nowoczesności wiedzie przez Unitrę

DALEJ widzieć, WIĘCEJ słyszeć, SZYBCIEJ myśleć!

NIEZAWODNY LASER

Inżynierowie i technicy zakładów pilnie śledzą wszelkie nowości pojawiające się na światowych rynkach. Prowadzi się obecnie zaawansowane prace studialne nad gramowidem produkowanym dotychczas jedynie przez dwie firmy: Telefunkena i Thomsona; gramowid jest urządzeniem przypominającym magnetofon, ale wyposażonym w...ekran. Zapisu wizji i fonii dokonuje się na specjalnych płytkach. Maksymalny czas nagrania wynosi zaledwie 10 minut. Polscy specjaliści chcą wykorzystać laser, który pozwoli przedłużyć czas nagrania, a tym samym i odtwarzania do 45 minut!

Zakłady Radiowe im. M. Kasprzaka wchodzą w skład Zjednoczenia Przemysłu Elektronicznego „Unitra", które zrzesza wszystkie zakłady produkujące aparaturę i urządzenia funkcjonujące na bazie elektroniki. Przykładowo: telewizory produkuje się m. in. w Warszawskich Zakładach Telewizyjnych. Rokrocznie schodzi tam z taśm 30.000 kolorowych telewizorów i 680.000 czarno-białych. Popularne „Mister Hity" wytwarza łódzka „Fonika". Z kolei autorem całej serii turystycznych odbiorników tranzystorowych jest bydgoska „Eltra".

LICENCJA CZY KOOPERACJA?

Myśl techniczna naszych specjalistów służy temu, aby produkowany sprzęt reprezentował światowy poziom. Często jednak odwoływać się trzeba do obcych technologii, tj. zagranicznych sposobów i tajemnic produkcji. Oczywiście, sporo to kosztuje. Niekiedy jednak bardziej się opłaca niż osiąganie własnym sposobem odpowiednich jakości. Po prostu, dzisiaj w dobie niespotykanego tempa wzrostu ilości nowych patentów, powielanie jakichkolwiek badań wynalazczych, jest niepotrzebną stratą czasu i nakładów finansowych. Jedynym i koniecznym rozwiązaniem staje się współpraca. W zależności od możliwości ewentualnych partnerów przybiera ona różne formy.

Do niedawna w naszych kontaktach z zagranicznymi firmami dominował jeden typ transakcji: zakup licencji. Polega to na zakupie wszystkiego, co wiąże się z umożliwieniem produkcji jakiejś rzeczy, a więc myśli technicznej, maszyn itp. Takie umowy zawierane są między dwoma partnerami, z których jeden wykazuje się wysokimi osiągnięciami w jakiejś dziedzinie, drugi zaś nie może wykazać się niczym poza gotówką.

Inną formę porozumień handlowych stanowi na pewno umowa kooperacyjna, która zdominowała w tej chwili wszelkie sprzętowe transakcje „Unitry". W zamian za udostępnione sposoby produkcji polskie przedsiębiorstwo zobowiązuje się dostarczyć określoną ilość wytworzonych wyrobów. Jest to możliwe, jeśli między partnerami istnieje duże zaufanie, gdyż produkt taki jest zazwyczaj sprzedawany na wielu rynkach światowych i opatrywany etykietą firmy macierzystej. Zrozumiałe jest, że nikt nie powierzy nam produkcji wyrobu, podejrzewając, że wykonamy go w sposób niedoskonały. Groziłoby to przecież utratą dobrego imienia firmy na rynku!

Wadą takich umów jest konieczność realizacji przyjętych zobowiązań w pierwszej kolejności. W ramach tych zobowiązań produkuje się na eksport, a następnie — na własny rynek. Stąd ciągły na razie brak w sklepach urządzeń najwyższej klasy. Każdy więc medal ma dwie strony.

LICZYDŁA? — ZBYT SKOMPLIKOWANE

Często jeszcze widuje się gdzieniegdzie liczydła, którymi można posługiwać się celem dokonania obliczeń w zakresie podstawowych działań. Dla niewtajemniczonego szybko przesuwające się pod palcami liczącego drewniane krążki na metalowych prętach nie oznaczają nic. Natomiast czterodziałaniowy minikalkulator wielkości kilku pudełek zapałek pozwala na dokonanie skomplikowanych obliczeń nawet pierwszoklasiście. Łatwo sobie wyobrazić, jaką pomoc stanowić może w szkołach, księgowości i w ogóle dla wszystkich liczących. Nie wyeliminuje to, niestety, konieczności uczenia się matematyki.

SKOK PRZEZ WIEK

W wielu zakładach zjednoczenia rozsianych po całej Polsce spotkać można maszyny pochodzące z całego niemal świata. Ich producentami są sławne firmy francuskie, zachodnioniemieckie, szwajcarskie, szwedzkie i amerykańskie. Zakupiony np. przez Zakłady im. M. Kasprzaka automat zastąpił pracę piętnastu robotników, lecz obecnie pracuje zaledwie parę godzin dziennie, gdyż nie nadążają za nim pozostałe taśmy produkcyjne. Wyrównanie poziomu ma wkrótce zresztą nastąpić i przyszłościowy automat wykorzystany będzie w stu procentach.

Nie we wszystkich halach produkcyjnych niebrudzące automaty obsługiwane są przez odzianych w białe fartuchy pracowników. Sporo jest jeszcze miejsc, gdzie mozolna, brudna praca przypomina XIX-wieczne manufaktury. Różnica jest szczególnie widoczna tam, gdzie tuż obok stoją pokryte sterowniczymi pulpitami cuda najnowszej techniki. Cóż, prawo kontrastu pozwala dojrzeć niekiedy lepiej przemiany, jakie inaczej umykają naszej uwadze.

Elektronika w coraz większym stopniu staje się podstawą nowoczesnego przemysłu i całej gospodarki. Jej inwazja objęła wiele dziedzin życia pozornie dalekich od możliwości zastosowań elektroniki. Chodzi tu także o komputery, których zastosowanie w przemyśle jest znane już chyba wszystkim, ale które także regulują przepływ pojazdów na ruchliwych szosach Europy, Afryki i Azji, a również decydują o wadze chleba sprzedawanego w sklepie i zawartości wody w kiełbasie w rozwiniętych państwach świata.

Polska — jako kraj dokonujący rewolucji naukowo-technicznej — lada moment uzupełni grono skomputeryzowanych państw. Ciężar tego w dużej mierze spadnie właśnie na „Unitrę".

WŁODZIMIERZ SŁOWIŃSKI

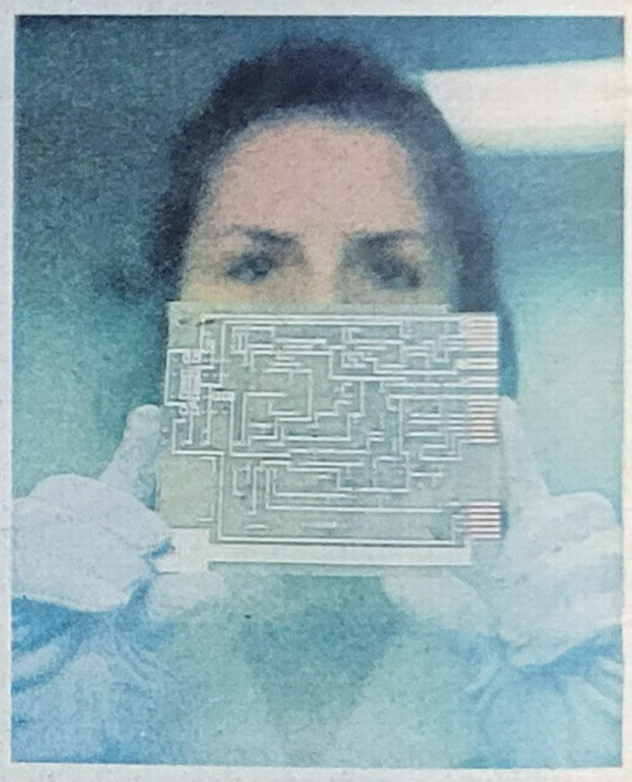

Początkowo tej wielkości płytka zawierała jeden obwód drukowany, potem dwa, a w tej chwili zawiera już 12 warstw.
Zdjęcie — CAF Sokołowski

W pełnym słońcu snop do snopa

Kiedy byłem zupełnie niewielki, każde swoje wakacje spędzałem u rodziny na wsi. Pamiętam, że nie mogłem doczekać się żniw. Była w nich bowiem jakaś urzekająca dla mnie atmosfera — coś z romantycznego wysiłku, którego ogrom mogłem jedynie sobie wyobrazić, ponieważ jako mały szkrab byłem raczej obserwatorem, trzymającym co najwyżej lejce koni, które w pełnym słońcu posuwały się wzdłuż stogów, zbierając snop do snopa.

Widziałem jednak spocone twarze, nabrzmiałe od wysiłku mięśnie żniwiarzy i bąble na rękach moich rodziców, którzy już trochę odwykli w mieście od takiego intensywnego wysiłku.

Żniwa w rodzinnej wsi trwały zwykle miesiąc. Zboże żęło się kosami, powoli ustawiało w stogi, by dojrzało pod słońcem, a potem mozolnie zwoziło do młócenia. Pamiętam, że wujkowie wstawali o trzeciej, czwartej nad ranem, gdy tylko zaczynało się rozwidniać, a kładli się późną nocą. Starałem się im dotrzymać towarzystwa, ale na próżno — zasypiałem znużony na jakimś ze snopków.

Z biegiem lat prace polowe wydawały się lżejsze, wkraczała mechanizacja. Kosy zastąpiły konne kosiarki a te — całe kombajny. Ale nadal środek lata jest najcięższym okresem w życiu rolnictwa. Rośnie bowiem wydajność zbóż, pogoda płata figle, nadal trzeba się spieszyć. Jeżdżę więc do tej pory na wieś pomagać żniwiarzom. Moja osobista akcja „Każdy kłos na wagę złota" trwa więc już od co najmniej 20 lat, bo choć żniwa trwają teraz krócej, to każda para rąk jest przydatna, by stawały się jeszcze krótsze, by można było wsiać poplony i zebrać je jeszcze przed zimą.

Od co najmniej dziesięciu lat nie jestem w swoich wysiłkach osamotniony. Wpierw bowiem Związek Młodzieży Wiejskiej, a teraz wszystkie związki młodzieży w ramach Federacji SZMP ogłaszają co roku tę pożyteczną akcję, która wyrosła z poczucia troski o dobro narodowe i szlachetnych pobudek niesienia pomocy potrzebującym. Co roku setki tysięcy młodych ludzi bierze w niej udział. Mam nadzieję, że nie zabraknie jej i tego lata, gdy pojadę pomagać żniwiarzom, zwłaszcza że wysiłek czeka nas duży.

O jego skali może świadczyć to, że zbożami obsiano jedną czwartą powierzchni kraju — dokładnie 8,2 mln ha. 25 proc. owych zbóż zostanie zebranych kombajnami, połowa zasiewów przeznaczona jest dla snopowiązałek, 20 proc. dla najmniej wydajnych maszyn, kosiarek, a resztę trzeba będzie skosić ręcznie.

Z tego prostego wyliczenia widać, że jest przy czym pomagać. Pomijając obszary obsługiwane przez kombajny, które od razu młócą zboże, przy reszcie sprzętu żniwnego trzeba jeszcze wiele wysiłku ludzkich rąk — w zbieraniu snopów, ustawianiu ich w kopy, w zwożeniu do stodół.

...Pamiętam, że najuroczystszym momentem w czasie żniw było pieczenie chleba z dopiero co zmielonej mąki. Zbierała się wtedy cała rodzina i wpatrując się w czeluść pieca, czekała na pierwszy bochen. Ten bochen był bowiem symbolem udanych żniw...

Życzę wszystkim, by mogli w tym roku zjeść taki bochen ze świadomością, że się przyłożyło własną dłoń do jego powstania.

WOJCIECH PIELECKI

3×3

BANK MIEJSC CIEKAWYCH

KILKA WIEKÓW W JEDNYM DOMU

Podczas wakacji odwiedziłem Rabkę – miasteczko na Podhalu. Nie zainteresowały mnie nowoczesne sanatoria i budynki, lecz rabczańskie zabytki. Najbardziej – Muzeum im. Władysława Orkana, mieszczące się w XVII-wiecznym kościółku. Muzeum to postanowił założyć miejscowy oddział Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Po kilkuletniej akcji kolekcjonerskiej, w roku 1936 postanowienie to zrealizowano.

Muzeum w Rabce ma charakter czysto etnograficzny. Ukazuje folklor Rabki i jej okolic. Eksponowane tam okazy zapoznają zwiedzających z tradycyjnymi sposobami zdobywania i przechowywania pożywienia. Pokazano więc naczynia i przyrządy, służące ludności wiejskiej do zbierania leśnych bogactw naturalnych, narzędzia łowieckie, szałasy pasterskie wraz z eksponatami (przedstawiającymi przerób mleka na sery), naczynia i urządzenia związane z hodowlą bydła, narzędzia rolnicze i gospodarcze oraz żarna i sprzęt domowy, służący do przyrządzania pokarmów.

Następna ekspozycja poświęcona jest rzemiosłom wiejskim: ciesielstwu, stolarstwu, tokarstwu, kowalstwu, garncarstwu itd. Dalej można zobaczyć tamtejszych górali z końca XIX w., narzędzia do obróbki lnu i wełny oraz wzory zdobienia spodni góralskich.

Muzeum w Rabce posiada również jeden z największych i najciekawszych zbiorów rzeźby i malarstwa ludowego, który jest dobrze znany na całym świecie. Dlatego wszystkim przebywającym w Rabce gorąco polecam Muzeum im. Władysława Orkana. Zwiedzając jeden budynek, można poznać rabczański folklor na przestrzeni kilku wieków.

Waldemar Dąbrowski
Warszawa

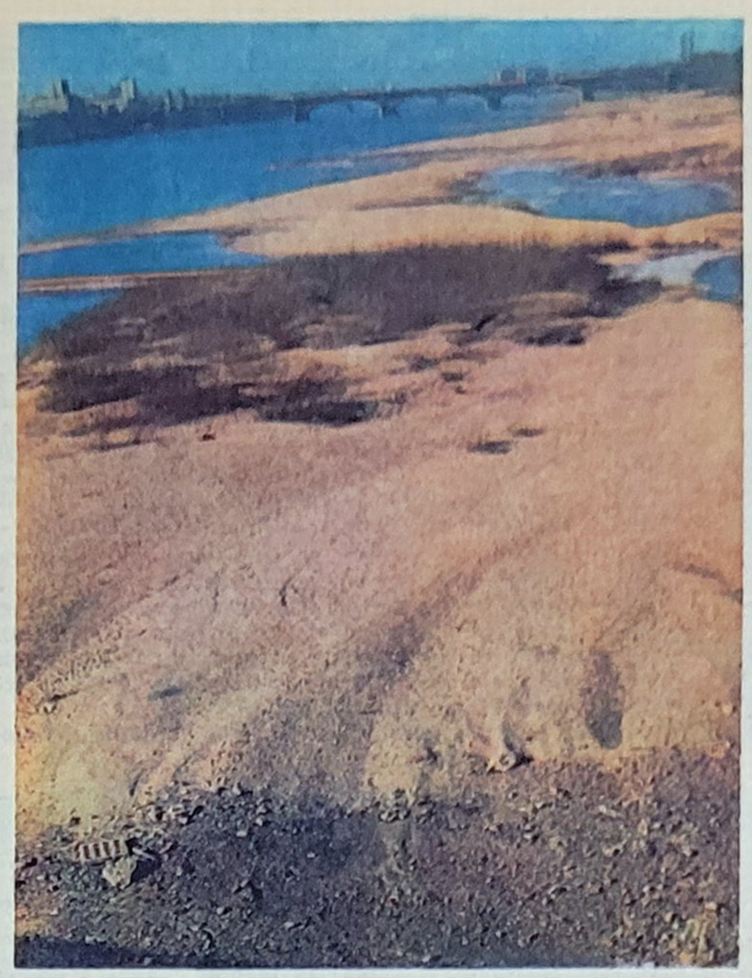

OCHRONA RZEK I JEZIOR

WARSZAWA (PAP). Polska jest krajem ubogim w wodę. Wśród 27 krajów europejskich nasz kraj pod względem zasobów wody na 1 mieszkańca znajduje się dopiero na 20 miejscu. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza zużycie wody wzrosło przeszło 2-krotnie, przy czym największy udział ma w tym przemysł. Dlatego też w programie ochrony środowiska naturalnego do 1990 roku szczególną wagę przywiązuje się do ochrony wód i jezior.

W latach 1971–75 zbudowano w kraju ponad 800 nowych oczyszczalni, co częściowo zmniejszyło zagrożenie wielu rzek. Przewiduje się, że w ciągu najbliższych 15 lat liczba oczyszczanych ścieków wzrośnie przeszło 3-krotnie. Jednocześnie nastąpi znaczna poprawa jakości oczyszczania.

Program ochrony środowiska naturalnego przewiduje szczególne zabezpieczenie wielu rzek ze względu na ich walory biologiczne, rekreacyjne i klimatyczne. Chronione będą m.in. rzeki górskie w Karpatach, Sudetach i Górach Świętokrzyskich, a także liczne rzeki nizinne. Na dużych rzekach, m.in. na Wiśle powyżej większych miast powstają tzw. strefy ochronne, w których nie przewiduje się lokalizacji zatruwającego wody przemysłu. Szczególnej ochronie podlegać będzie – jako wielka rezerwa – całe dorzecze Narwi i Pojezierze Mazurskie. Dzięki tym wszystkim przedsięwzięciom przewiduje się, że już w latach 1981–85 nastąpi, mimo znacznego rozwoju przemysłu, duże zahamowanie zanieczyszczeń rzek, a następnie radykalna poprawa czystości wód w naszym kraju.

(bis)

Zdjęcie: CAF

SABAT CZAROWNIC czyli UDANY TYDZIEŃ „OPTYMISTEK"

Publiczne niby egzekucje, to parę minut dobrej zabawy dla całej stanicy.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

„Optymistki" mieszkają w Puławach. Dotychczas znały się z widzenia. Niektóre z nich chodzą do tej samej szkoły, inne są sąsiadkami z jednej ulicy. Różnie to bywa, kiedy tworzy się „sezonowe" kilkunastoosobowe zastępy. Zdarza się, że chociaż zajęcia organizowane są wspólnie, to każdy chodzi własnymi ścieżkami lub zastęp rozpada się na niezgrane grupki. Nic więc dziwnego, że pierwszego dnia turnusu „Optymistki" przyglądały się sobie nieufnie: „Jaki będzie ten wspólny tydzień?"

DUCH I RESZTA

Chociaż było już dobrze po północy, żadna z „Optymistek" nie spała. Dopiero teraz rozkręciły się na dobre. Zaczęło się od zwykłych dziewczyńskich opowiadań i nucenia modnych piosenek, ale później zrobiło się bardzo wesoło. A kiedy jeszcze Aśka zaczęła udawać ducha, chichocząc przy tym zaraźliwie, namiot „Optymistek" prawie pękał „w szwach" od tych śmiechów. Im bardziej się nawzajem uciszały, tym było głośniej. „Duch" wyczyniał coraz bardziej skomplikowane łamańce i właśnie miał zamiar spłynąć na ziemię z górnego łóżka, jak z baszty zamkowej, gdy na horyzoncie pojawił się z groźną miną druh Ignacy.

– Ach, to tak! Zabawy po nocy niektórym się zachciewa! No, to będzie zabawa! Zrobimy „duchowi musztrę!".

W namiocie raptem zapanowała cisza. Aśka! – Musztra nocą to żadna przyjemność, zwłaszcza po deszczu.

No i właśnie wtedy, podczas tej pierwszej nocy, „Optymistki" miały okazję się sprawdzić. Bo na musztrę wymaszerowała nie tylko Aśka, ale i cały zastęp.

RECEPTA NA DOBRY DZIEŃ

Chciałoby się, aby każdy dzień wakacji przynosił same przygody, niespodzianki i przyjemności. Wiadomo, że nie zawsze spadają one z nieba jak przysłowiowa kasza manna i nieraz trzeba je po prostu wymyślać. „Optymistki" każdego więc wieczoru opracowują receptę na ciekawy dzień następny. To wcale nie jest takie proste, zwłaszcza wtedy, gdy każdemu marzy się co innego. Bo dla niektórych największą wakacyjną przyjemnością jest po prostu – „byczenie się". W recepcie „Optymistek" każdy, nawet największy malkontent, znajdzie coś dla siebie. Jest więc opalanie się i kąpiel w basenie, są wyprawy w okolicę i tzw. sąsiedzkie pomoce starszym ludziom przy pieleniu ogórków i warzywników, są zabawy i ogniska. Najgorsze jest ustalenie dyżurów w kuchni. Obierania ziemniaków nikt nie pokocha! Tutaj zawodzi nawet optymizm „Optymistek". – Czy przez ten tydzień nie można byłoby jadać na obiad makaronu?!

Najmilsze jednak są wieczory. Gdy zapadnie zmrok, wszyscy wyruszają nad Wisłę i tam rozpala się ognisko. „Optymistki" zawsze zasiadają przy nim razem. Kiedy w rozgwieżdżone niebo lecą snopy iskier i słychać trzaskanie palących się gałęzi, wtedy cały świat nabiera uroku niespodziewanych barw i można byłoby tak przesiedzieć całą noc.

Na dzień pożegnania „Optymistki" przygotowują Sabat Czarownic. Największa miotła dostanie się druhnie komendantce – Marii Perkowskiej. Ta miotła będzie symbolem uznania i... żalu. Uznania za wspaniały tydzień wakacji i żalu, że ma on tylko siedem dni, a druhna jako główna „Czarownica" nie może zrobić nic, aby przedłużyć go chociaż o jeden dzień.

ELŻBIETA JEDLIŃSKA

Zdjęcia: M. Szymański

Hufiec Puławy tradycyjnie już organizuje NAL w Ośrodku Harcerskim nad Wisłą. W czterech tygodniowych turnusach uczestniczy ok. 200 harcerzy szkół podstawowych z miasta i okolicznych wsi. Kadra instruktorska w stanicy to starsi koledzy ze szkół średnich. Program i zadania oparte są na akcji naszej redakcji „Lew 75".

Obieranie ziemniaków jest dla wszystkich prawdziwą męką.

Andrzej Chrzanowski zasłynął jako najwspanialszy mim.

Kwiatów goście i... włamywacze

Pojawiają się na kotkach wierzby, zanim nastanie kalendarzowa wiosna. I ostatnie jesienią opuszczają kwiaty. Choć chronione, stają się coraz rzadsze. Zagłada grozi nawet najliczniejszemu dotąd gatunkowi: trzmielowi ziemnemu.

Coraz trudniej zobaczyć jego krępą, czarną sylwetkę z żółtym pasem na tułowiu i takąż obrączką na odwłoku zakończonym białymi włoskami. Pięcioro oczu (w tym trzy oczka z przodu głowy i para wielkich oczu po bokach) pozwala mu wyśledzić interesujące kwiaty. A najbardziej „gustują" trzmiele w kwiatach różowych, czerwonych, niebieskich i fioletowych. Unikają raczej białych i żółtych, silnie kontrastujących z zielenią.

Gdy tylko pogoda dopisuje, wylatują po pyłek i nektar. Ten ostatni trafia do wola znajdującego się przed żołądkiem. Pyłek osiada na włochatym ciele, gdy owad sięga języczkiem po nektar, „nurkując" np. w kielichu pierwiosnka. Oczywiście, przy okazji zapyla roślinę. Dopiero w locie specjalnymi grzebyczkami zgarnia go trzmiel do koszyczków – zagłębień otoczonych gęstymi włoskami na goleniach tylnych nóg.

Warto zaznaczyć, że trzmiele odwiedzają kwiaty na ogół niedostępne dla pszczół. Dzięki długim języczkom wysysają nektar z bardzo głębokich kielichów: szałwi, pierwiosnka, krokusa, fiołka, miodunki. Im głównie zawdzięczamy zbiory koniczyny. W Australii nie wydawała ona nasion, dopóki nie sprowadzono tych owadów.

Trzmiel ziemny ma najkrótszy języczek spośród naszych trzmieli, toteż nie może dosięgnąć nektaru z kwiatu nasturcji, tak jak jego krewniak trzmiel ogrodowy. A jednak nie rezygnuje ze słodyczy. Nie górą, to bokiem! Przekłuwa dolną część kielicha (tzw. ostrogę) i wysysa nektar, oczywiście, nie zapylając kwiatu. Jeśli się dobrze przyjrzycie nasturcjom lub lnicom (żółtym, kwiatom przypominającym lwie paszcze), zobaczycie w ostrogach kwiatów otwory – ślady trzmielich „włamań"

HISTORIA TRZMIELEGO RODU...

...rozpoczyna się zaraz po pierwszym posiłku na kotkach wierzby. Trzmiel ziemny przelatuje nisko nad polem, poszukując miejsca na gniazdo. Wreszcie znajduje opuszczoną mysią norkę w ścianie miedzy. To jest to! Woda nie zaleje takiego gniazda. Trzmiela matka rodu wyściela gniazdo, a potem przynosi pyłek. Dodaje do niego żywicę i wosk, wydzielany przez gruczoł po spodniej stronie odwłoka. Nogami miesza te składniki jak ciasto i z tego surowca lepi beczułkę. Na jej dnie umieszcza papkę z pyłków i nektaru. Potem składa jajeczka i zasklepia czarkę woskowym wieczkiem. Już kolej na następną komórkę. Jest podobna do poprzedniej i niezbyt starannie wykonana. Natomiast siódma z kolei, wielka i dzbanuszkowata, posłuży jako spiżarnia. Matka znosi do niej nek-

Sensacje naukowe Półwyspu Jukatan (II)

TAJEMNICE ŚWIĘTEJ STUDNI W CHICHEN—ITZA

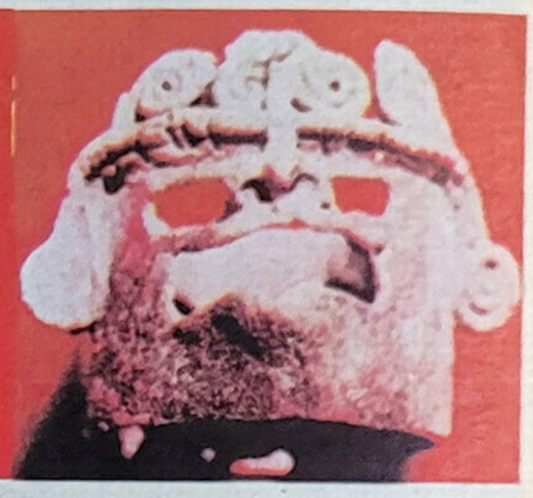

JAKŻE dziwnym i pełnym sprzeczności człowiekiem musiał być drugi od czasu podboju arcybiskup Jukatanu wielebny Diego de Landa. Oto najpierw kazał zebrać wszystkie ocalałe jeszcze dokumenty i malowidła Majów aby... spalić je na stosie jako dzieło szatana. Zresztą niewiele już tego było w owym czasie, gdyż jego poprzednik Don Juan de Zumarraga w taki sam sposób zniszczył bezpowrotnie dziesiątki, a może setki tysięcy ksiąg, dokumentów, pism, obrazów. Nie działał oczywiście sam, podlegli mu biskupi i księża gorliwie puszczali z dymem wszystko co tylko mogło świadczyć o pradawnych wierzeniach i kulturze świeżo podbitego przez Hiszpanów ludu Majów.

Ale Diego de Landa był rzeczywiście dziwakiem. Bowiem ledwie wygasł święty ogień, który miał ostatecznie zatriumfować nad „szatańską" przeszłością tego skrawka Ameryki Środkowej i na wiele wieków skazać ją na zapomnienie, gdy wielebny siadł przy pulpicie i... sam napisał historię Majów. Ilustrował ją szkicami znaków jakimi lud ten oznaczał miesiące i dni, a informacjami do owej księgi zatytułowanej „Opowieść o Jukatanie" służył mu jeden z pozostawionych przy życiu książąt indiańskich.

Rękopis de Landy z 1566 roku, przeleżał w bibliotekach przez blisko trzysta lat i nikt się nim na serio nie interesował aż do połowy XVIII wieku. Po prostu uważano, że jest to zbiór baśni i legend nie mających żadnego związku z rzeczywistymi wydarzeniami. I tylko jeden człowiek postanowił wszystkim udowodnić, iż się mylą. Był nim Edward H. Thompson amerykański dyplomata i archeolog.

Płetwonurkowie na pontonie.

Bóg Chac – żąda ofiar

Chichen – Itza to legendarne miasto Majów. Jego świątynie zadziwiają przepychem form, pałace zmuszają do myślenia o własnej biedzie i nicości, obserwatorium astronomiczne przypomina o rzeczach nieziemskich i wiecznych. Jest tu nawet boisko do gry w piłkę i wiele piramid na szczyty których prowadzą setki schodów. I jest tu miejsce najstraszniejsze ze strasznych – **cenote** czyli Święta Studnia. Prowadzi do niej droga śmierci wydeptana tysiącami stóp pobożnych pielgrzymów, którzy przybywają tu z całej Ameryki Środkowej aby w czasie procesji załagodzić gniew boga wody i deszczu. Niosą z sobą bogate dary: ziarno kukurydzy, przedmioty z miedzi, kadzidło, kamienne posągi, złote ozdoby. Po skomplikowanych ceremoniach rzucają to wszystko do Świętej Studni, której wody zmieniają nieustannie swój kolor z zielonego poprzez brunatny aż do krwistoczerwonego. I z niepokojem patrzą w niebo. Jeśli nadal jest bezchmurne znaczy to, że bóg CHAC żąda ofiar z ludzi. Modły zaczynają się na nowo i w ciemną toń spycha się teraz dziewczęta, kobiety, więźniów. Mają oni w imieniu ludu Majów przebłagać okrutnego boga i wyprosić upragniony deszcz – tym kończył swą relację Diego de Landa.

Udowodnić, iż owe ceremonie tak właśnie przebiegały – oto zadanie, które postawił sobie Thompson.

Wielka przygoda dyplomaty – archeologa

Realizacja tego zadania została rozłożona na wiele lat. Najpierw Thompson dotarł do ruin Chichen-Itza, a wśród nich odnalazł Świętą Studnię. Po kilku latach przyjechał w to samo miejsce z ciężkim sprzętem do nurkowania i eksploatacji dna. I przez długie dni bagier wyciągał z bagnistej studni... błoto, kamienie, gałęzie drzew i nic poza tym! Thompson był już bliski załamania. Tak o tym pisał.:

– Czyżby było możliwe – pytałem sam siebie – że nakłoniłem mych przyjaciół do wydatków i sam naraziłem się na śmieszność, aby dowieść tego, co inni przyjęli z góry jako przesądzoną, że wszystkie te podania to tylko legendy pozbawione wszelkich podstaw?

Stało się jednak inaczej. Pierwszego dnia czerpak wyniósł na powierzchnię wody wraz z mułem i odłamkami skał, dwie grudki żywicy używane niegdyś jako kadzidła przez kapłanów. I od tego momentu zaczęła się wielka przygoda, upartego dyplomaty – archeologa.

Bagier za każdym razem dostarczał teraz coraz cenniejszych znalezisk. Thompson sam nurkował w skafandrze i własnoręcznie znajdował na dnie klejnoty, broń, narzędzia, naczynia.

Dziś, to co wydobył an ze Świętej Studni w latach 1904–1907 stanowi całe muzeum przy Uniwersytecie w Hanward. Same tylko przedmioty ze złota mają wartość ponad 2 milionów dolarów. Znaleziono i wydobyto oczywiście również wiele szkieletów. Niektóre należały do młodych dziewczyn...

A więc wszystko to, co opisał wielebny franciszkanin okazało się prawdą.

Przekleństwo boga deszczu i wody

Wielokrotnie potem ponawiane badania Świętej Studni (patrz podpis pod rys.), przynosiły coraz więcej materiałów. Ich wartość naukowa jest dziś wprost bezcenna. W błotnistej toni ocalało bowiem to wszystko czego nie zdołali zniszczyć i zrabować okrutni najeźdzcy. Np. wszystkie złote wyroby z tych okolic dawniej przetapiano na sztaby i te dopiero wywożono. Diademy i biżuterię rozbierano wydłubując drogocenne kamienie. Ceramikę tłuczono, obrazy i meble palono, tak, że do czasów odkryć w Chichen-Itza muzea posiadały tylko pojedyncze egzemplarze wyrobów, świadczących o kulturze Majów.

Ostatnia ekspedycja dostarczyła więc wiele ciekawych informacji pozwalających poznać ten niezwykły lud. Ale jej tragiczne zakończenie odbiło się głośnym echem na całym świecie.

Najpierw dopadł ekspedycję potężny cyklon Beulach, który nie tylko zniszczył sporo sprzętu ale i zerwał jedyny most łączący Jukatan ze światem. Potem nastąpiła straszliwa susza i pożary lasów tak wymęczyły ludzi, że wreszcie postanowiono przerwać prace i wycofać się po kolejnej inwazji jadowitych węży na obóz. A w ciągu czterech miesięcy po zakończeniu badań zmarli nagle w tajemniczych okolicznościach: Pablo Bush Romero – kierownik ekspedycji, Christian – pilot wyprawy, A. Gabilondo – szef nurków meksykańskich, Dr. Hartado – dyrektor Inst. Antropologii i Historii oraz K. Johnson, który wyprawę finansował.

– Okrutny bóg deszczu CHAC zabrał swe ostatnie ofiary – mówią w Meksyku. – Nikt nie może bezkarnie naruszać jego świętego spokoju...

JERZY DĄBROWSKI

Zdjęcia: **Archiwum**

Święta Studnia w Chichen-Itza była w ostatnich latach wielokrotnie obiektem badań różnych ekspedycji naukowych. Tą naturalną rozpadliną skalną, wypełnioną wodą, interesowali się m. in.:

● W 1954 roku starali się ją zgłębić członkowie Klubu Ludzi-Żab z Meksyku. Wyprawie patronował Meksykański Państwowy Instytut Antropologii i Historii. Badania nie przyniosły rezultatu na skutek zbyt małej przejrzystości wody.

● W latach 1960–61 użyto tu wodno-powietrznej ssawki pod nazwą „air lift", wynalazku Ada Linko. „Air lift" transportuje z dna rozpadliny błoto i osady wraz z cennymi znaleziskami, które ulegają odsianiu na powierzchni pływającego pomostu. W ten sposób zdobyto ponad 4 tys. różnych przedmiotów z miedzi i złota, naczyń, klejnotów i rzeźb. Niestety, wiele z nich uległo uszkodzeniu w czasie transportu w rurze i w momencie odsiewania. Poważną wadą tego urządzenia było również i to, że pracowało po omacku.

● W roku 1967 rozpoczęła swą działalność największa z dotychczasowych ekspedycji (patrz rys.) Przywieziono wiele ton sprzętu, nowoczesne agregaty do oczyszczania wody systemem PUREX, 40-tonowy dźwig, małą elektrownię, warsztat naprawczy, udoskonalony „air lift", potężne pompy itp.

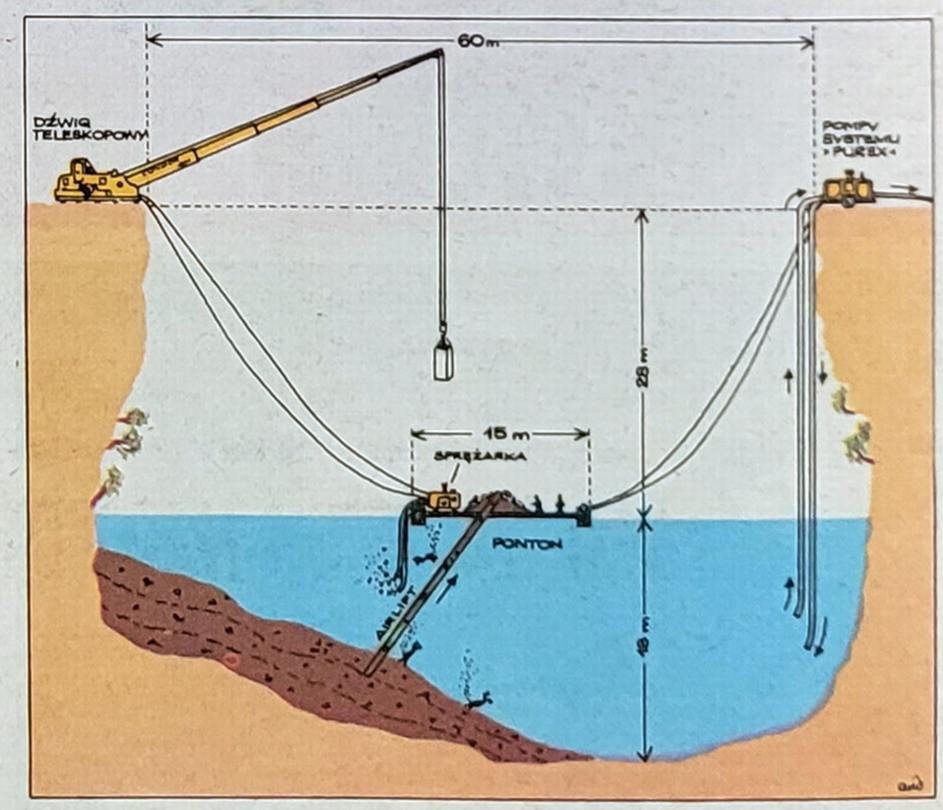

Próbowano najpierw wypompować wodę z całej studni, aby prowadzić wykopaliska tradycyjnie. Udało się zaledwie obniżyć jej poziom o 4 m. Dopiero więc, gdy agregaty oczyściły wodę i przywróciły jej naturalny turkusowy odcień, przystąpiono do nurkowania. Tym razem wyniki były fantastyczne! Dzień po dniu wyciągano znów setki przedmiotów i kości ludzkich – najwięcej dziecięcych.

Święta Studnia okazała się skarbcem. Wydobywano rzeźbione posągi, złote dzwonki, srebrne i brązowe kolczyki, maski, pięknie malowane i wypalane wazy, korale, muszle, złote sandały dziecięce, ozdobne miniaturowe meble.

Prawda o okrutnym i zachłannym bogu CHAC potwierdziła się ostatecznie...

tar, który dojrzewa zamieniając się w wodnisty, bezbarwny i bardzo słodki miód.

Zapas zgromadziła w samą porę. Nie sposób w deszcz wylecieć po „pożytek", a trzeba przecież dokarmiać larwy, które wylęgły się w pierwszych komórkach i szybko uporały z zapasem pożywienia.

Wreszcie matka przegryza ścianki beczułek i pomaga wydostać się potomstwu na zewnątrz. Białe beznogie larwy oplatają się jedwabną nicią. W kokonie zamieniają się w dorosłe trzmiele samiczki, o wiele mniejsze od matki. Młode robotnice zaraz zabierają się do pracy: znoszą pyłek i nektar, budują nowe komórki, wykorzystując surowiec z opuszczonych czarek.

W trzmielim domostwie robi się coraz ciaśniej. Zapanowałby tu zaduch nie do wytrzymania, ale... wtedy na „progu" norki stają trębacze. Wentylują domostwo szybkimi ruchami skrzydeł; towarzyszy temu donośne buczenie. Co godzinę straż przejmuje nowa warta.

Jeśli szczęście trzmielom dopisze, nie zniszczy ich gniazda lis, jeż, czy mysz. Trzmiel jest wobec wrogów bezbronny. Ma żądło, ale właściwie go nie używa. Nasi znajomi na pewno nie uniknq jednak wizyty brzmika, swojego dalekiego krewniaka. Brzmik nie może sam wykarmić potomstwa — nie ma na nogach koszyczków do przenoszenia pyłku. Składa więc po jednym jajeczku do komórek zbudowanych przez trzmiela ziemnego. Potem brzmik zadomowi się w trzmielim gnieździe. Jest tak podobny do swojego krewniaka, że owady nie odróżniają go od własnej matki...

Lato w pełni, pyłków i nektaru w bród. Teraz matka trzmielego rodu składa tylko po jednym jajeczku do każdej komórki. Te larwy dostaną więcej pokarmu niż pokolenia robotnic. Nic więc dziwnego, że kokony opuszczają teraz duże, w pełni rozwinięte samice. Na końcu wykluwają się samce.

Nie są one tak uciążliwe i upośledzone, jak trutnie pszczele. Robotnice nie muszą ich karmić i „myć", wyczesując grzebyczkami pyłek i kurz spomiędzy włosków na ciele. Opuszczają gniazdo i nawet nie wracają tam na noc. Śpią w kielichach dzwonków. Czekają na młode samice, by odbyć lot godowy. Zginą potem od jesiennych przymrozków. Ten sam los spotka robotnice i starą matkę rodu. W dziuplach, szparach pod korą, w zakamarkach na strychu i w opuszczonym gnieździe prześpią zimę młode samice. Wiosną rozpoczną poszukiwania siedzib dla swoich rodzin. Może natrafią na nie w skarpach, odsłoniętych zboczach, rowach melioracyjnych lub małych, przydrożnych urwiskach. Trzmiel musi się wiele nalatać, zanim znajdzie miejsce na domostwo. Zaorano przecież miedze, w których opuszczone myszie norki doskonale się nadawały do założenia gniazd...

Ten pożyteczny owad jest objęty ochroną, a jednak staje się coraz rzadszy. Miejmy nadzieję, że uda się go ocalić od zagłady. Przecież wraz z trzmielem ziemnym zginąłby i jego sublokator: brzmik. Potem niepostrzeżenie zubożałyby łąki i lasy. Niezapylone rośliny nie wydadzą przecież nasion.

No proszę, kto by przypuszczał, że taki mały owad ma takie szerokie powiązania z otaczającą go przyrodą!

MARIA WROBLEWSKA

Zdjęcie: Archiwum

LOTERIA FANTOWA

Młodzieżowej Agencji Wydawniczej

Dochód na rozwój sportu szkolnego

— Samochody „Syrena 105"

— Wysokie wygrane w bonach towarowych o wartości od 500—20.000 zł

— Możesz wygrać kupując los Młodzieżowej Loterii Fantowej

Losy w cenie 5 zł do nabycia w kioskach „Ruch" w województwach: gdańskim, elbląskim, rzeszowskim, przemyskim, krośnieńskim, tarnobrzeskim, kieleckim, radomskim, W-wa — stołeczne, płockim, ciechanowskim, ostrołęckim, siedleckim, olsztyńskim i suwalskim.

Niech idą w świat

NA SZKLE MALOWANE

ANNĘ Basman można spotkać kręcącą się po obejściu. Niska, korpulentna, o wesołych oczach chociaż zawsze zapracowana. Gospodarstwo jest duże, sześć hektarów trzeba obrobić. Krowom dać jeść, a kury i kaczki też są. Dom liczny, pięcioro dzieci, chociaż najstarsza Irena już jest na swoim. Ale zwasze, to bieliznę podrzuci do prania, to coś innego. A już jak chleb piekę, obowiązkowo także dla nich. Mówią, że takiego chleba jak od matki, to nigdzie nie można kupić. A poszyć i pocerować dla wszystkich! Chociaż córki nauczone są szyć, haftować i... malować.

Czas kradziony

— Kiedy więc znajduje pani czas na malowanie? — zapytałam, kiedy usiadłyśmy w gościnnym pokoju. Urządzony był nowocześnie. Na ścianach wisiały prace jej lub córek. Na honorowym miejscu olej — „Martwa natura" pędzla gospodyni.

— Roboty w gospodarstwie jest zawsze dużo i w zimę i w lato. Czas na malowanie, to czas kradziony. Ale gdybym mogła, to malowałabym bez przerwy. Nieraz to sobie marzę, że jak oddamy gospodarstwo synowi, a sami przeprowadzimy się do córki, do Władysławowa, to może więcej będę miała czasu. A i mąż nie będzie miał do mnie pretensji, że nie robię tego, co trzeba, tylko maluję. Niby się już trochę przyzwyczaił, tyle przecież lat, ale...

Jak zaczęłam malować na szkle, to stałam się bardziej sławna. Zapraszają mnie na wystawy, festiwale sztuki ludowej. W tym roku byłam w Płocku. Sprzedaję tam często swoje obrazy. Niech idą w świat, ludzkie oczy cieszą.

Podobno malowanie świętych obrazów na odwrotnej stronie szkła sięga tu, na Kaszubach, XVII—XVIII w. Potem tradycja jakby zanikła. I dopiero z namowy Wojewódzkiego Domu Twórczości Ludowej niektórzy zaczęli malować na powrót. Ja maluję, moje cztery córki też, Czesiek Hinc we Wdzydzach, Zdzisiek Krauze z Redy.

Dlaczego na odwrotnej? Bo przecież z tej by się starł. A i kompozycja jest trochę inna. Najlepiej pokażę to na obrazie. To mojej córki, Elżbiety. Najzdolniejsza jest ze wszystkich. Przy piernikowym domku Jaś i Małgosia spotykają Babę Jagę. Stoi ona po lewej stronie obrazu, Jaś i Małgosia po prawej. Na przeciwnej stronie szkła, a więc na tej, na której obraz był malowany, postaci stoją odwrotnie. Czarownica po prawej, dzieci po lewej. A ja na przykład, chcąc namalować twarz, najpierw maluję oko, a dopiero potem pokrywam takim kolorem tempery, jak zaplanowałam dla twarzy. Następnie całe malowidło dla utrwalenia pokrywam lakierem, oprawiam w ramki i gotowe!

Teraz zaczynają się kłopoty. Muszę to zawieźć do „Cepelii" do Gdańska. Dobrze jeśli wezmą tyle, ile zamówili u mnie. A przecież nieraz jest tak, że muszę wieźć z powrotem te kilkanaście obrazków, bo im coś tam nie pasuje. A szkło jest przecież ciężkie. Jak przyjadę taka zmęczona do domu, to mąż mi mówi: „Rzuć to wszystko, ledwo zarobisz na farby i szkło, a umęczysz się co niemiara". Już nieraz chciałam

Tematy do swoich obrazów czerpie malarka z życia.

to zrobić, ale jak tylko trochę odpocznę, to znów mnie ciągnie do moich obrazów.

Ginące tradycje

Obrazy Anny Basman urzekają bogatymi, żywymi kolorami. Trochę zresztą jak z bajki. Dom jest całutki czerwony, dach natomiast ma niebieski. Obok drzewo tak, zielone, jak można sobie tylko wyobrazić. I na tym tle widać całe gospodarstwo: tu chłopiec w szarym ubraniu karmi owce, dalej stara babka doi krowę, na podwórku spacerują gęsi, kury, kaczki i indyki. Wszystko aż się skrzy intensywnymi kolorami.

— Bo ja i moje córki malujemy to, co widzimy. Naszą wieś, gospodarstwo, ludzi. Ale nie tylko...

Moja mama wiele mi opowiadała o dawnych zwyczajach. Sama też trochę pamiętam. Mam już 51 lat. Chociaż nieraz sobie myślę, co będzie jak my starzy odejdziemy. Bo dla mnie te dawne obyczaje, to część mojej młodości. Wspominam je z takim sentymentem jak moje młode lata. I takie je pokazuję. Ale czy taki sentyment będą mieli młodzi? Dla nich będzie to jeszcze jedno przedstawienie. Ot, zmarł niedawno Leon Bizewski, który robił tabakierki z rogów. Swoje tajemnice zabrał ze sobą, bo nikt w całej wsi nie chciał się tego uczyć.

Na tym obrazie pokazane jest „ścinanie kani". W postać kani, drapieżnego ptaka, przeobraziła się czarownica, która wyrządza wiele złego... A to sprawi, że dziewczyna za mąż nie wyszła, o to krowa zdechła, albo deszcz padał w czasie żniw. Na świętego Jana, na plac wiejskich zebrań wnoszono przywiązaną do żerdzi kanię. Sąd, złożony ze starszych po wysłuchaniu mowy oskarżyciela, skazywał ją na śmierć, a kat ścinał jej głowę toporem. Dziś żywą kanię zastępuje figurka z gliny, wypełniona czerwoną farbą, a widowisko to można zobaczyć na dorocznych jarmarkach w Pucku. Kania pozostała już tylko w przysłowiu „Nabroił, nabroił, a teraz się boi jak kania na świętego Jana".

Potem zaczynała się zabawa. Właśnie to namalowałam. Dziewczęta w modrych lub wiśniowych spódnicach, białych, bogato haftowanych bluzkach, czarnych gorsecikach i białych fartuszkach. Mężczyźni są w „buksach", czyli spodniach białych parciannych lub granatowych, koniecznie w białych koszulach, na które zakładało się „liwk" — kamizelkę bez rękawów albo „weps" — kamizelkę z rękawami. Na tym obrazie tańczą oni „szewca". To stary taniec. Podobno tańczył go król Jan Sobieski na gburskim weselu w Osłoninie. Zaczynał się on przyśpiewką „Szëję, botë, szëję, botë, wycygóm draaatew!".

Ale to nie koniec sobótkowych obrzędów. Ten obrazek przedstawia powracające z pastwiska krowy. Zgodnie ze zwyczajem ich rogi i ogony przystrojone są kwiatami. Wieńce z polnych kwiatów ozdabiają również brzuch krowy. To na szczęście, żeby się dobrze chowały.

Na malowidłach ożywają stare stroje, zwyczaje przekazywane z pokolenia na pokolenie w formie gadek, przypowieści i przyśpiewek. I może to właśnie przywiązanie ludu kaszubskiego do tradycji pozwoliło oprzeć się germanizacji.

Obrazy Anny Basman są wesołe. Tylko twarze ludzi są smutne, jak gdyby odbił się na nich trud wielu pokoleń.

★

O Gnieździewie, wsi leżącej w pobliżu Pucka, krążą niezliczone wesołe gadki, jak to gnieździewianie wszystkiego mieszkańcom Pucka zazdrościli i co wynikało z ich przeróżnych pomysłów. Warto tego posłuchać. Ja zaś zapraszam was na spotkanie z najlepszą kaszubską malarką na szkle — Anną Basman.

Anna Basman z Ireną, Gertrudą oraz Elżbietą. Brak Danuty, która przebywa poza domem.

BOŻENA ZWOLIŃSKA

Zdjęcia: Jacek Łopuszyński

ciekawostki motoryzacyjne — Seria III — Nr 5

MAŁO ZNANY MERCEDES

Nietrudno teraz spotkać na ulicy samochody przeznaczone dla wielkiej turystyki. Ludzie od dawna już odkryli uroki wędrówek po świecie własnym środkiem lokomocji, a „normalne" samochody służące na co dzień z powodzeniem ich właścicielom, nie zawsze nadają się do dłuższych wakacyjnych wojaży z bagażem, namiotami, sprzętem turystycznym itp. Do celów tych służą samochody specjalne, jakich już wiele można widywać na naszych drogach: Volkswageny, Fordy, a nawet przerabiane własnym przemysłem nasze Nysy. Wyposażenie tych samochodów zależy od inwencji właściciela. Można w nich zainstalować miejsca do spania, kuchenkę, śpiżarnię z lodówką.

Idea samochodu przeznaczonego dla wielkiej turystyki nie jest nowa. Mamy teraz modę na starocie również i w samochodach. Z tej okazji przypominamy mało znany pojazd produkowany przez wytwórnię Mercedes już na początku naszego stulecia. Na zdjęciu model tej firmy, wytwarzany w latach 1902—04 na specjalne życzenie. Mogło nim podróżować 6 osób nie licząc kierowcy. Odpowiednio duży zbiornik paliwa pozwalał na przejazdy na długich etapach bez potrzeby tankowania paliwa, co tym ważniejsze było wtedy, że przecież stacje benzynowe nie były tak gęsto rozsiane jak teraz. Na płaskim dachu było sporo miejsca na bagaż. Tylne koła były podwójnie ogumione. Niewiele egzemplarzy tych samochodów uchowało się do dziś i jeśli wierzyć starym prospektom zużywały one zaledwie około 6 litrów paliwa na 100 kilometrów, a moc silnika wynosiła 28 koni mechanicznych.

ELEKTRONICZNY KOMPOZYTOR

USA (PAP). Mack Davis, mieszkaniec kalifornijskiego miasta Palm Springs, opatentował ostatnio niezwykły wynalazek — elektronicznego kompozytora. Sam będąc kompozytorem i poetą M. Davis zaprojektował elektroniczny system komponowania muzyki do tekstów poetyckich. Muzyka jest zapisana w pamięci maszyny elektronicznej w postaci ogromnej liczby muzycznych fraz. Wiersze przechowuje się w całości.

Niektóre z tak powstałych dzieł Mack Davis ceni wyżej od własnych, skomponowanych przy fortepianie. (bis)

REDAKCYJNA POCZTA

KULTURA MIESZCZUCHÓW

Po przeczytaniu listu „Prowincjuszki", Grażyny i Hanki z 67 i 75 nr SM postanowiłam na ten temat wtrącić swoje „trzy grosze". Przez trzy tygodnie przebywałam w pewnej wsi. Dom, w którym mieszkałam z mamą i bratem, znajdował się naprzeciwko kolonii, której kierowniczka przyjaźniła się z mamą. Razem z kolonistami chodziliśmy nad rzekę i do lasu. Zaobserwowałam, że dziewczęta starały się poniżyć swoje miejscowe koleżanki. Nad rzekę nosiły kostiumy z komisów, ubierały się jak modelki na rewii, a do rozmów często wtrącały angielskie lub francuskie słówka. Opowiadały sobie fikcyjne wrażenia z zagranicznych podróży i przechwalały się sercowymi podbojami. Kiedy w ostatnim tygodniu zachorowałam i parę dni spędziłam w domu, przychodziły do mnie i opowiadały, czym jeszcze drażniły dziewczęta ze wsi i jakie przykrości im sprawiały. Wychowawczynie udawały, że nie zauważają niewłaściwego postępowania swych podopiecznych. Ciekawa jestem, co inni myślą na ten temat?

Czajka z Krakowa

OBURZONA WARSZAWIANKA

Jestem oburzona tym, że młodzież wiejska tak krytycznie ocenia zachowanie młodzieży miast, a szczególnie z Warszawy. Oni nas — mieszkańców miast uważają za coś innego, lepszego od siebie. Dają tego dowód w listach nadsyłanych do SM, czym, moim zdaniem poniżają się. Jeśli tylko coś się im u nas nie podoba, zaraz wytykają nam brak kultury, a przecież wszyscy mamy jakieś wady. Warszawiacy! — czy naprawdę jest z nami tak źle? Dlaczego nie piszecie?

Ania z Warszawy

Ewa Ociepa, ul. Lipowa 8 m 36, 97-500 Radomsko. Interesuje się muzyką i literaturą. Chce nawiązać korespondencję z rówieśnikami, którzy urodzili się 15. XII. 1961 r.

DYSKOTEKA NASTOLATKÓW

„Chodzić do dyskoteki jak każdy nastolatek" — to motto naszego listu. Mieszkamy we wsi turystycznej w której często urządzane są dyskoteki, ale cóż z tego, gdy na te wieczorki przychodzą nasze nauczycielki i bezceremonialnie wypraszają nas z sali, mimo że jest to dopiero początek zabawy. Ciekawi jesteśmy czy regulamin szkolny zabrania piętnastolatkom uczestnictwa w dyskotekach?

Izabella S. i koleżanki

Od redakcji: Z informacji, jakiej udzieliło nam Ministerstwo Oświaty wynika, że nie ma przepisów zabraniających młodzieży szkolnej uczestnictwa w dyskotekach. Trzeba jednak pamiętać o tym, że zabawa — nawet bardzo udana — nie powinna przedłużać się do późnych godzin nocnych, bo o 22 musicie już przebywać w domu.

Ludzie codziennej przygody

RATOWNICY W AKCJI

Lato w pełni. W upalne dni wielu z was szuka ochłody w wodzie. Dobrze, gdy kąpiecie się w miejscach specjalnie do tego wyznaczonych. Źle, a czasami tragicznie, kończą się wodne harce „śmiałków" pozbawionych nie tylko umiejętności pływackich, ale i wyobraźni, która pozwoliłaby przewidzieć skutki własnej lekkomyślności.

Jak często ludzie narażają własne życie, przekonałem się sam, spędzając jeden dzień z wodnym patrolem milicji na Wiśle.

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

— „850" do bazy — proszę o zezwolenie na wypłynięcie.

— Tu baza — zezwal... Ryk wyjącego silnika motorówki zagłuszył głos oficera dyżurnego. Za sterem łodzi, którą płyniemy, jeden z najlepszych funkcjonariuszy stołecznej komendy milicji rzecznej — starszy sierżant Roman Sobierajski. Jeden z tych, którzy narażając własne życie spieszą z pomocą innym.

Jest ósma rano, na brzegach pojawiają się pierwsi plażowicze.

— Upalnie, dziś chyba będzie dużo pracy — zwracam się do naszego sternika.

— Czy jest pogoda, czy nie ma, to **na brak zajęć nie możemy narzekać.** Patrolujemy 40-kilometrowy odcinek Wisły oraz Zalew Zegrzyński od śluzy po Zegrze. Ale nasza praca to nie tylko akcje ratownicze, których oby było jak najmniej! Kontrolujemy także jednostki pływające, sprawdzamy karty żeglarskie, motorowodne, pływackie i wędkarskie. Czuwamy nad utrzymaniem porządku na nadbrzeżach...

Relacje przerwał głos w radiotelefonie:

„920" do bazy — proszę o przysłanie radiowozu, rejon Most Śląsko-Dąbrowski.

Płyniemy i my, by zobaczyć co się stało. Na brzegu dwaj dygocący ze zdenerwowania chłopcy.

— Co przeskrobali? — pyta swych kolegów sierżant Sobierajski.

— Pływali w miejscu niedozwolonym i na dodatek nie posiadają przy sobie żadnych dokumentów.

— Czy wiecie, że tu nie wolno pływać?

— Tak, ale...

— 200 metrów stąd jest strzeżone kąpielisko; nie mogliście iść tam się wykąpać?

— Tam jest... za płytko.

— Moglibyście się utopić! Tutaj nie ma ratownika.

— My umiemy pływać!...

Przyjechał radiowóz, odpływamy.

— Co z nimi będzie? — pytam naszego sternika.

— Zostaną przewiezieni do komisariatu. Wezwani rodzice zapłacą mandat i zabiorą ich do domu. A o „wyczynie" dowie się szkoła!

Nagle łódź przyspiesza. W dali kajak. Na jego burtach siedzą chłopak i dziewczyna. Podpływamy do nich.

— Czy wiecie, że tak nie wolno pływać?

— Tak, ale chcieliśmy się opalić...

Po sprawdzeniu kart pływackich i krótkiej reprymendzie odpływamy.

— Do kajaków to ja mam szczęście — uśmiecha się Roman Sobierajski. To było trzy lata temu. Patrolowałem sam rzekę. Tuż obok mnie płyną dwie osoby kajakiem. Siedziały tak jak ta dwójka, którą kontrolowaliśmy. Nagle — wywrócili się. Skoczyłem do wody. Najpierw wyciągnąłem dziewczynę i gdy wraz z nią podpłynąłem do tonącego już chłopaka, ten schwycił mnie tak mocno za szyję, że omal nie poszliśmy we trójkę na dno. Z trudem uwolniłem się, przytomniejszej dziewczynie kazałem trzymać się kajaka, a chłopaka doholowałem do nadpływającego kolegi. Wracając po dziewczynę, widzę z przerażeniem, że moja motorówka podąża nieuchronnie wprost na filar mostu. Krzyczę do kolegi.

— Ratuj łódź. Ale w tym momencie ręce dziewczyny znikają pod wodą. Nurkuję. W ciemnościach wody widzę bezwładne ciało dziewczyny. Brak mi powietrza. Ostatkiem sił łapię ją za włosy. Uratowałem! Kolega dopędził motorówkę tuż przed filarem. Wszystko skończyło się szczęśliwie.

— Ilu ludzi uratował pan dotychczas?

— Trzydzieści osób. Ale ilu nasza pomoc okazała się zbyt późna, dowie się pan ze statystyki utonięć.

Obok pojawia się żaglówka — kontrolujemy ją. Wszystko w porządku — pomyślnych wiatrów. Znów w radiotelefonie któryś z kolegów R. Sobierajskiego prosi tym razem o przyjazd karetki pogotowia. Uratowali tonącego mężczyznę na Zalewie Zegrzyńskim, jest przytomny, ale pomoc lekarza niezbędna.

Zmieniamy kurs: płyniemy w dół rzeki. Za zakrętem, tuż przy brzegu, dwóch chłopaków kąpie się w miejscu niedozwolonym. Sierżant nakazuje im ruchem ręki, by wrócili na brzeg.

Płaczą, proszą o przebaczenie, obiecują, że już nigdy, nigdy więcej...

Pan Sobierajski darował winę.

— To co usłyszeli, powinno wystarczyć; sądzę, że zrozumieli niebezpieczeństwo — mówi

Robi się szaro. Powoli wracamy do bazy. Dzisiejszy dzień pracy starszego sierżanta Romana Sobierajskiego i jego kolegów zakończył się pomyślnie... Zbyt wiele jest jednak innych dni...

Mimo że prasa, radio, telewizja, WOPR i MO stale ostrzegają, ciągle jeszcze jest wśród nas wielu „bohaterów", ceniących kąpiel w niedozwolonym miejscu bardziej niż własne życie.

DARIUSZ SZPAKOWSKI

Zdjęcia **K. Adamowski**

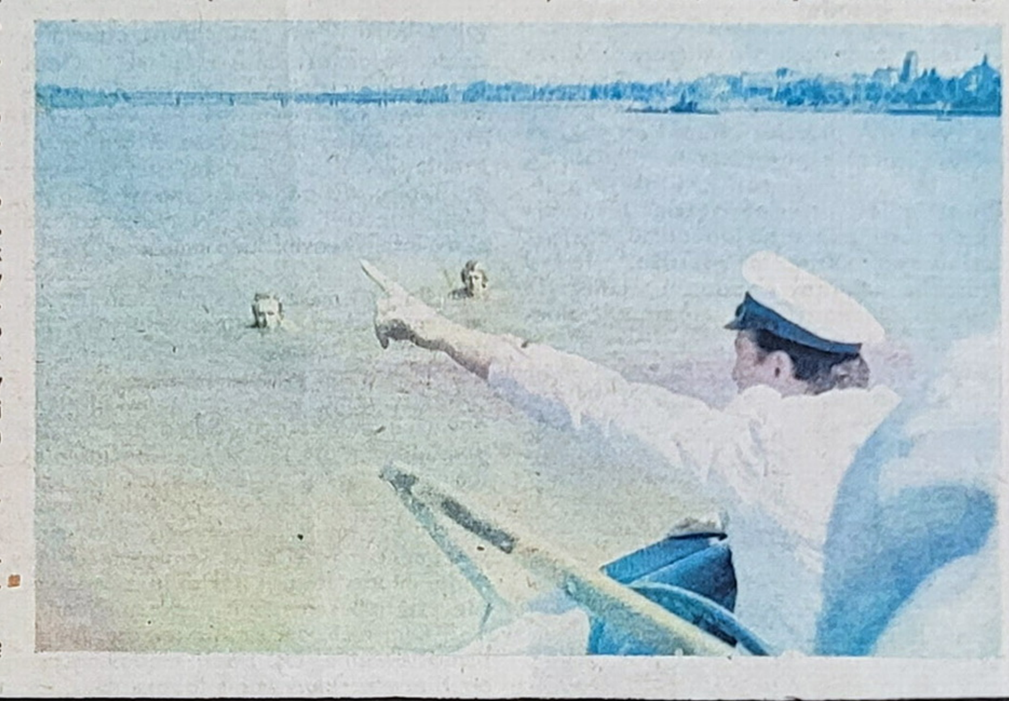

OSTRY DYŻUR

Co z tymi praktykami?

Jesteśmy uczniami pierwszej klasy Zasadniczej Szkoły Ogrodniczej i w tym roku czeka nas wakacyjna praktyka. Dyrektor gospodarstwa rolnego oświadczył, że będziemy pracować dwa razy w tygodniu po osiem godzin dziennie (a więc tyle samo, co wykwalifikowany pracownik). Obawiamy się, że jako 16-letnia młodzież nie podołamy niełatwym przecież obowiązkom rolnika. Poradźcie więc co mamy robić Czy decyzja dyrektora jest słuszna?

Uczniowie I kl. ZSO w Weryni

Każdy swój zawód wybiera z zamiłowania, z przekonaniem, że to co będzie robił później po ukończeniu szkoły, będzie robił dobrze, niezależnie od tego, w jakich warunkach i przez ile godzin dziennie. A więc jeśli ktoś wybiera zawód rolnika-ogrodnika, to powinien mieć świadomość, że jego późniejsza praca nie będzie podobna do 8-godzinnej pracy w biurze. Że czasami trzeba pracować po 10—12 godzin dziennie bez względu na pogodę — deszcz, zimno czy wiatr. Bo wiadomo buraki, kapusta czy siano, nie będą czekać aż się wypogodzi.

Dlatego też z mieszanymi uczuciami przeczytałem ten list. Czyżby uczniowie szkoły ogrodniczej nie wiedzieli na czym polega praca rolnika? Rozumiem, że każdy początek jest trudny i teraz mając przed sobą perspektywę dwóch dni pracy w gospodarstwie przeżywają momenty zwątpienia, ale nie należy się tym aż tak przerażać! Bo jeśli decyzja kierownictwa szkoły (zgodna zresztą z zarządzeniami o praktyce zawodowej dla uczniów zasadniczych szkół rolniczych) była dla nich ogromnym zaskoczeniem, to nie wiem jak wyobrażali sobie późniejszą pracę w gospodarstwie.

Jesteście przerażeni perspektywą nielekkiej pracy, czekającej was podczas wakacji, a przecież nie będzie to nic innego, jak zajęcia, które później, po ukończeniu nauki będą należały do waszych codziennych obowiązków. Może więc niektórzy z was popełnili błąd wybierając ten właśnie zawód? Myślę jednak, że wszyscy ci, którzy wybrali tę szkołę świadomie i z zamiłowania zmienią zdanie po tegorocznej praktyce i przekonają się, że „nie taki diabeł straszny". Bo taki to już jest ten zawód rolnika — odpowiedzialny i nielekki, ale dobrze wykonywany daje konkretne rezultaty i wiele satysfakcji.

Inż. WŁADYSŁAW GUTEK
St. radca w Departamencie Kształcenia Zawodowego Ministerstwa Oświaty i Wychowania

SPROSTOWANIE

W książeczce pt. „Zbieramy zioła" — z serii Biblioteczka „Świata Młodych" tom 5, wydrukowanej w n-rze 79 zamienione zostały ceny skupu dwóch ziół.

Oto ceny właściwe:

CHABER BŁAWATEK, cena skupu za 1 kg suszu:

230 zł

JASNOTA BIAŁA, cena skupu za 1 kg suszu:

350 zł

Prawidłowe ceny wklejcie w odpowiednie miejsca książeczki.

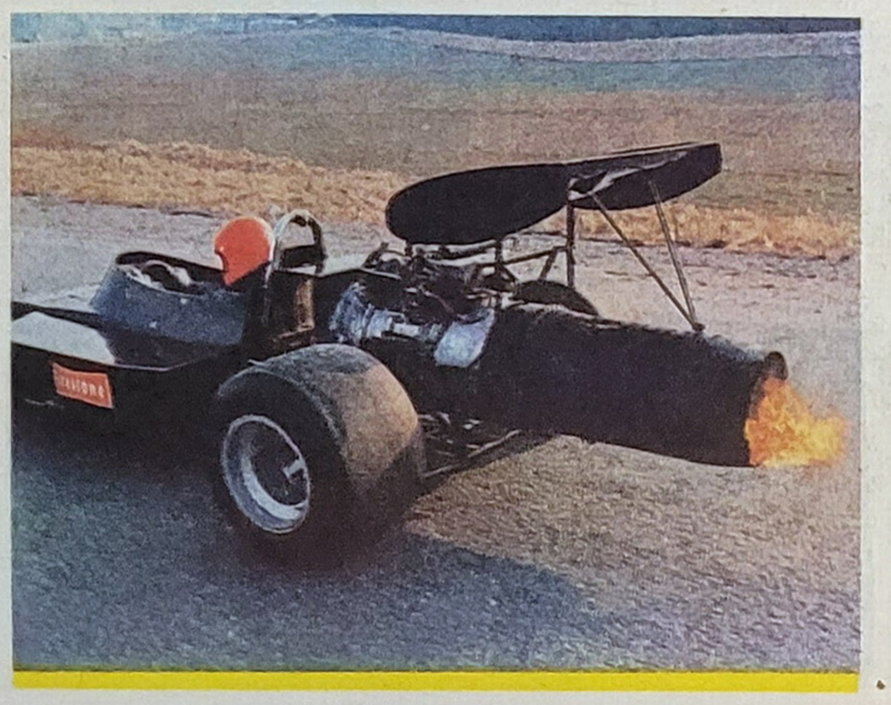

Odrzutowa wyścigówka

Szwed — Arnold Sundquist, z zawodu pilot helikoptera w służbie meteorologicznej, od kilku lat konstruuje samochód wyścigowy z napędem odrzutowym! Przepisy międzynarodowe regulujące warunki techniczne jakim odpowiadać muszą samochody wyścigowe, wykluczają stosowanie silników odrzutowych, jednakże Sundquist nie ma zamiaru ścigać się na słynnych torach w swoim wozie. On chce po prostu pobić rekord szybkości na kołach. Z jego obliczeń wynika, że jeśli uda mu się pokonać trudności techniczne, uzyska prędkość przekraczającą 1000 km/godz.! Na razie jednak piętrzą się przed nim olbrzymie kłopoty. Silnik, którym dysponuje, pochodzi ze średniej wielkości myśliwca odrzutowego produkowanego przez szwedzką firmę SAAB (produkującą też znane u nas samochody). Natomiast nadwozie, w którym zamontowany jest ten silnik nie wytrzymuje jego przyspieszeń i mocy. Jest to nadwozie wyścigowego samochodu który ostatnio przy próbach na betonowych pasach lotniska zaczęło się ono rozpadać już przy prędkości 540 km/godz. Sundquist tylko cudem uniknął przykrych konsekwencji, a zawdzięczać to może wyjątkowej wytrzymałości nadwozia samochodu wyścigowego, którego normalna prędkość nie przekracza 300 km/godz. Sundquist ma również kłopoty z utrzymaniem swojej konstrukcji... na ziemi. Przy tych prędkościach jego pojazd, nawet pozbawiony skrzydeł zdradza tendencje do startu w powietrze, jak samolot. Problem ten znany jest zawodnikom wyścigowym, choć ich samochody poruszają się z prędkością zaledwie w granicach właśnie 300 km/godz.

Droga Kropeczko, jesteśmy już absolwentami naszej ukochanej szkoły, jednak chcielibyśmy wysłać pozdrowienia z miast, w których będziemy wypoczywać. Poradź nam: 1) Jak napisać prawidłowo życzenia. A właściwie to o czym pisać na pocztówce? 2) Czy do jednego nauczyciela wypada wysłać dwa razy kartę, za każdym razem z innej miejscowości? 3) Czy kartę należy wysłać w kopercie? 4) Czy wypada zadzwonić do nauczyciela, który był naprawdę „równy"?

Zrozpaczona VIIIb

Kochani, szkoda, że nie podaliście adresu, odpowiedź byłaby szybsza, chociaż... Myślę, iż z powodu opóźnienia sami odpowiedzieliście sobie na pierwsze pytanie i napisaliście do swoich ulubionych nauczycieli to, co serce dyktuje. Pocztówka wypełniona sztywnymi formułkami nie może sprawić przyjemności. Adresat powinien po przeczytaniu pocztówki lub listu „wyczuć" nadawcę.

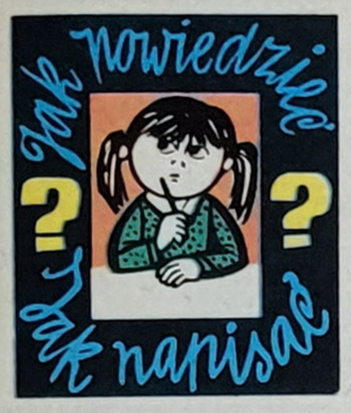

Przecież wiele Was łączyło. A wrażenia z podróży? Warto je przekazać choćby w dwóch zdaniach. Nie sądzę, abyście mieli powody czuć się skrępowani z powodu braku pod ręką słownika ortograficznego? 2) Tak, nawet z każdej miejscowości. 3) Karty wysyła się bez opakowania. Te wyjątkowe piękne, z obawy przed uszkodzeniem w drodze, wkłada się niekiedy do koperty. 4) Wypada, aby tylko pora nie była zbyt wczesna lub późna.

Jak się właściwie akcentuje takie np. wyrazy: sprzedaliśmy, zostaliśmy, mieliśmy itp. Ja często słyszę te wyrazy akcentowane tak: mieLIśmy, zostaLIśmy. Uważam, że to jest nieprawidłowo. — Ala Zienkiewicz.

Masz rację Alu. Jak wiadomo akcent w języku polskim pada na drugą sylabę — do końca. Wyrazy, które wymieniłaś (akcentowane na trzeciej sylabie do końca) to tylko pozorne odstępstwo od reguły. Powstały one z imiesłowu i słówka posiłkowego „być". Kiedyś odmieniało się ono zupełnie inaczej niż dziś. „Zostaliśmy" powstało np. z „zostali jeśmy".

Po połączeniu akcent pozostał na tej samej sylabie imiesłowu, na którą padał od początku. Z pewnością sprzyjał temu zwyczaj odrywania cząstki —śmy od czasownika i przyklejania jej do innego wyrazu w zdaniu (gdy to KUPILIŚMY albo: GDYŚMY to KUPILI). Podobny sposób akcentowania obowiązuje i w innych wyrazach będących z pochodzenia formami złożonymi (MÓwiłbym, zaśpieWAliby, CZTErysta, SIEdemset). Wszystkim, którzy mają z akcentowaniem trudności, radzę kłopotliwy wyraz „rozłożyć na czynniki" (chodziliśmy = chodzili+śmy) i akcentować drugą sylabę od końca składnika pierwszego (chodzili) potem dodać nieakcentowany drugi składnik.

Wasza mgr KROPECZKA

Redaguje:
Włodzimierz Lewiński

Część I

Na wakacjach jest fantastycznie, fenomenalnie i super!!! Wiem o tym dobrze i zazdroszczę Wam szczerze. Wiadomo mi jednak, że raj wakacyjny zamienia się w koszmar, gdy z dala od mamy musimy dokonać reperacji garderoby.

Postanowiłem ułatwić Wam życie. Oto, mój drodzy, kilka znakomitych porad, które zaczerpnąłem z własnych wakacyjnych doświadczeń.

1) Zamki błyskawiczne nazwę swą zawdzięczają temu, że błyskawicznie się psują. Rysunek przedstawia sposób na rozpinający się zamek.

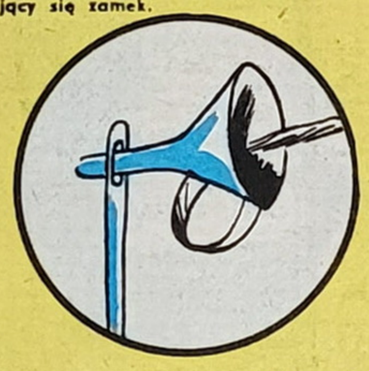

2) Nawlekanie igły jest dziecinną zabawką jeśli czynimy to z pomocą przedstawionego na rysunku lejka.

3) Jeśli chcesz naprawdę mocno i solidnie przyszyć guzik — rób to zawsze tak, jak przedstawia rysunek, a nie tak, jak to czynią konserwatyści.

Do zobaczenia!

Wasz Rzep

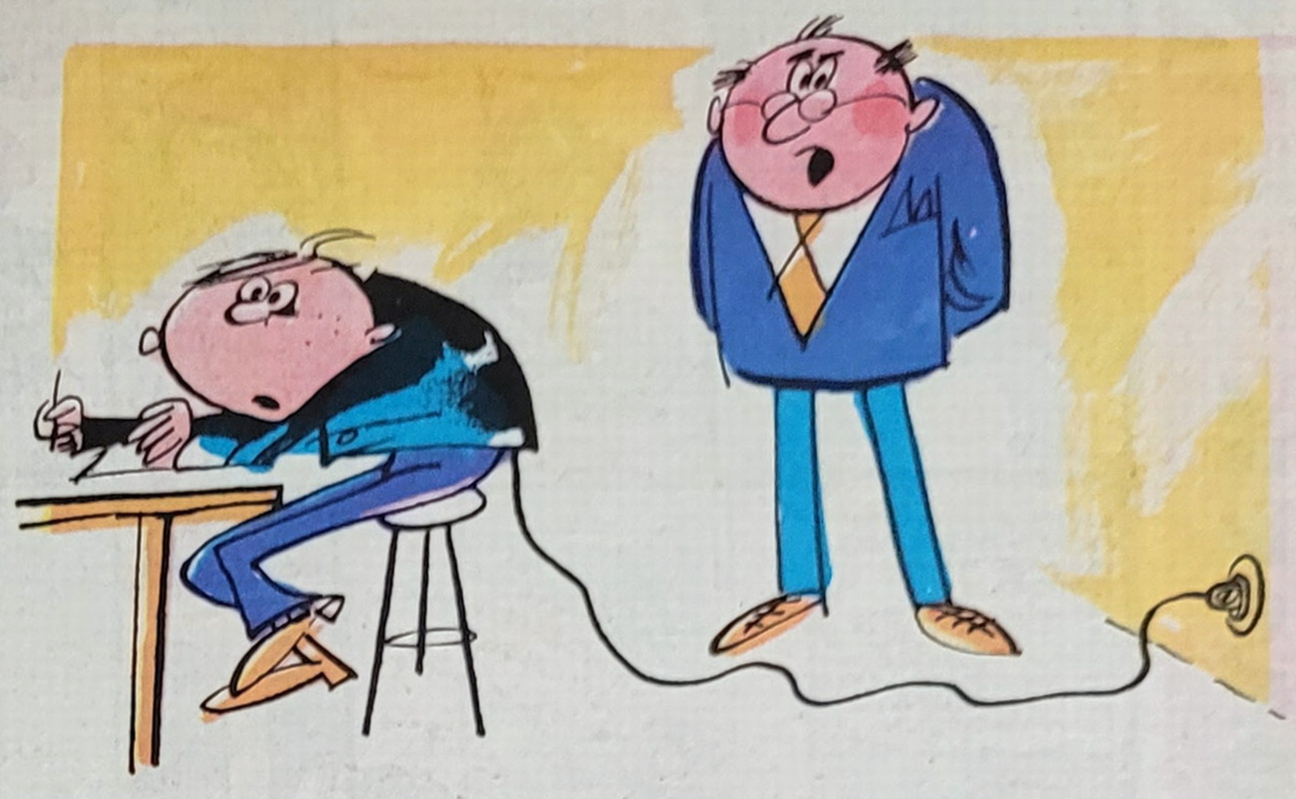

— Tylko bez żadnych sztuczek na klasówce, Kowalski!...

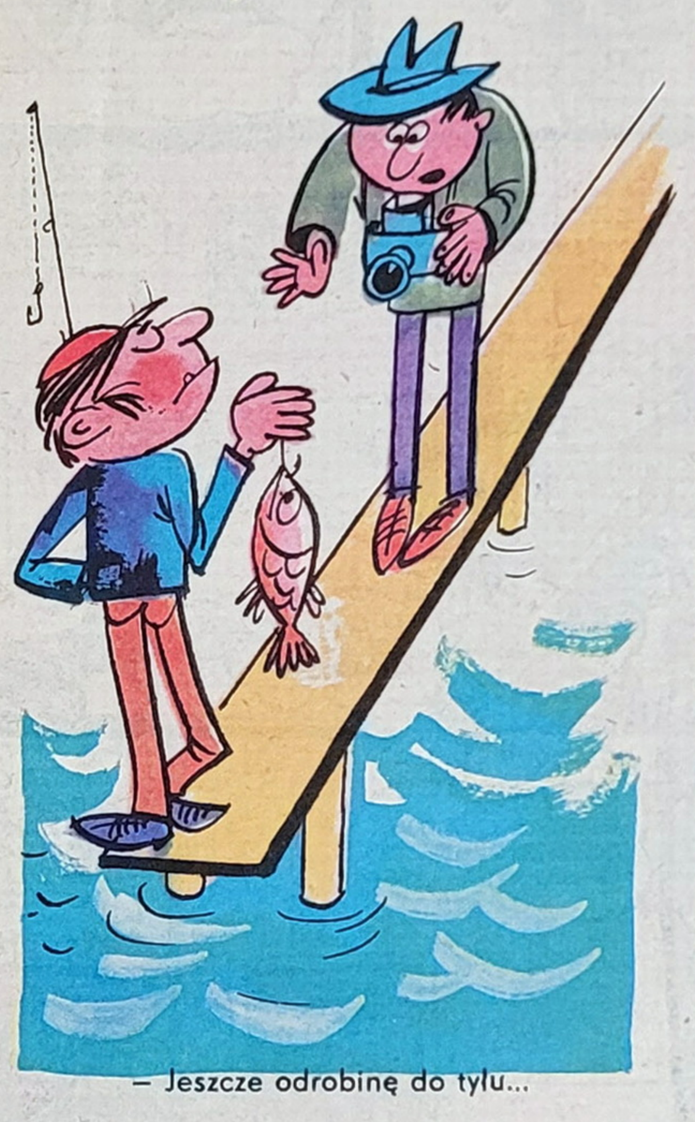

— Jeszcze odrobinę do tyłu...

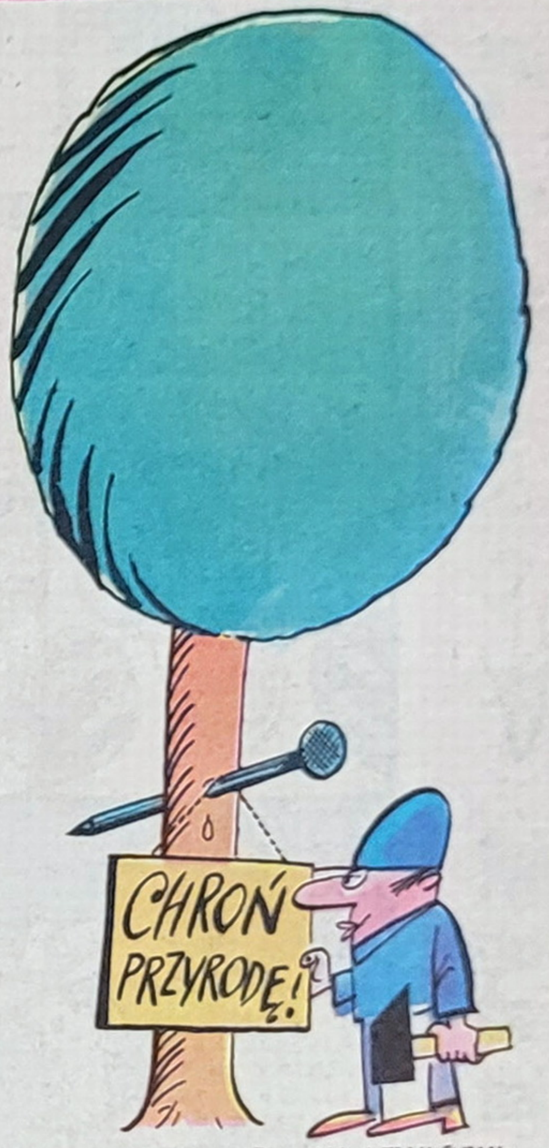

Rys. W. LEWIŃSKI

— O to właśnie chodziło! — zawołał. — Kreskę! A wszyscy inni gdzieś należą. Tak być nie może.

— Claudio — pokiwał głową profesor Zuniga Roca — znałem cię jako ucznia, nie byłeś najlepszy, ale teraz już cię nie poznaję, wychodzi z ciebie urzędnik.

— Być może — odparł ten z urazą. — Mam swoje zasady.

— W sporcie — powiedział profesor — ma sens tylko jedna: czy ktoś chce, czy nie chce.

W ciasnym pokoju wszyscy już przysłuchiwali się przerwawszy swoje rozmowy. Alkad postąpił naprzód.

— Panie profesorze — powiedział — chyba chodzi o to, że prawdziwym zawodnikom będzie wstyd przegrać z Amaru.

Rozległy się śmiechy.

— Nie ma rady, Claudio — rzekł ktoś. — Musisz go zapisać.

— A potem żale będą do mnie — upierał się Claudio — jeżeli powstanie jakieś zamieszanie.

— Niech się pan nie boi — zapewnił alkad z głęboką powagą — on będzie biegł daleko przed wszystkimi.

— Żale biorę na siebie — powiedział profesor. — Robisz to na moją prośbę. Ale zasługa też spadnie na mnie! — zażartował.

Wyszli pośród ogólnych śmiechów. Już w aucie profesor pokręcił głową.

— Tacy jesteście obaj uparci — powiedział — i poważni, gdy mówicie o tym biegu, że nie mogłem was nie poprzeć. Ale nie przejmujcie się zbytnio. — Obrócił się do Amaru — nic nie szkodzi, jeśli nawet nie dobiegniesz do mety.

W wieczór poprzedzający Inti Raimi wzgórza wokół Cusco zapłonęły ogniami. Widzieli je z daleka, jak czerwone węgle rozniesione wiatrem po czarnych graniach, jarzyły się jeszcze po północy, kiedy wraz z mieszkańcami miasta wstępowali na wzgórze fortecy. Nikt nie kładł się spać tej nocy. Tak jak przed wiekami tłum obsiadł granitowe mury i bastiony aby oczekiwać przyjścia boga słońca. W granatowym półmroku, pośród szeptów spoglądano na trawiastą przestrzeń wewnątrz murów, gdzie w skupieniu czuwała gromada młodzieży, mająca odegrać święte misterium. Zdjąwszy z nóg sandały, przebrani w bogate szaty stali przywódcy Inki, starszyzna, kapłani, dostojnicy przybyli z najdalszych zakątków Imperium i kacykowie plemion ościennych. Dzierżyli swe odznaki władzy i berła wysadzane klejnotami. Z wolna poruszając szczękami żuli ziele chucau, zabijając głód trzydniowego postu. Wielu było przebranych za dzikie zwierzęta z andyjskiej mitologii. Wraz z nimi oczekiwał cesarz, Inka, zasiadając na tronie-lektyce.

Podniósł się, gdy pierwszy, różowy promień zorzy zabarwił niebo. W najgłębszej ciszy wysunął się przed innych krocząc z dostojeństwem i zaintonował śpiew, zaraz podjęty przez pozostałych.

Amaru słuchał tych głosów, zrazu niskich, głębokich i miękkich, przekazujących sobie melodię, odzywających się z różnych stron, to pojedynczo, to chórami. Coraz to pełniejszych i wyższych w miarę, jak słońce podpływało do horyzontu. Aż skrawek tarczy ukazał się nad odległym grzbietem zamykającym dolinę. Przyjęto go na kolanach, pozdrawiając otwartymi ramionami. Gdy tarcza wychynęła w całości, tak już oślepiając, że niepodobna było patrzeć na nią, kapłani przystąpili do odnowienia świętego ognia, który miał być strzeżony w świątyniach do przyszłego roku. Ustawili pod słońce wklęsłe zwierciadło z polerowanego złota, skupiające wiązkę promieni na kłębku zbitej bawełny. Gdy zapłonął ogień, Inka ujął dwa złote naczynia wypełnione napojem z kukurydzy, wzniósł toast do słońca i wylał zawartość na olbrzymi półmisek też odkuty ze złota. Z drugiej czaszy sam upił i podał ją dostojnikom.

Potem ruszyli pochodem, by złożyć ofiary. Przodem niesiono sztandary sztywno rozpięte na drzewcach wysokich jak maszty, z wizerunkami paszcz pumy i tęczowymi szachownicami. Za nimi szli przywódcy odmierzonym krokiem, w wysokich czapach niosąc berła i tarcze. Poprzedzali żołnierzy w czerwonych, krótkich sukniach, błękitnych pelerynach i hełmach zsuniętych na oczy, zrobionych ze sznurów sizalu. Ich broń stanowiły kamienne buzdygany.

Alkad był wzruszony, głośno wytarł nos chustką.

— Patrz — powiedział — wtedy byliśmy potężnym krajem.

Na stadionie, w szatni dla zawodników, panowało zamieszanie jak na jarmarku. Amaru zrobił to co wszyscy, przebrał się, zwinął ubranie i schował na półkę do żelaznej szafki. Wyszedł na boisko.

cdn

PAPCIO CHMIEL

TYTUS, Romek i A'TOMEK

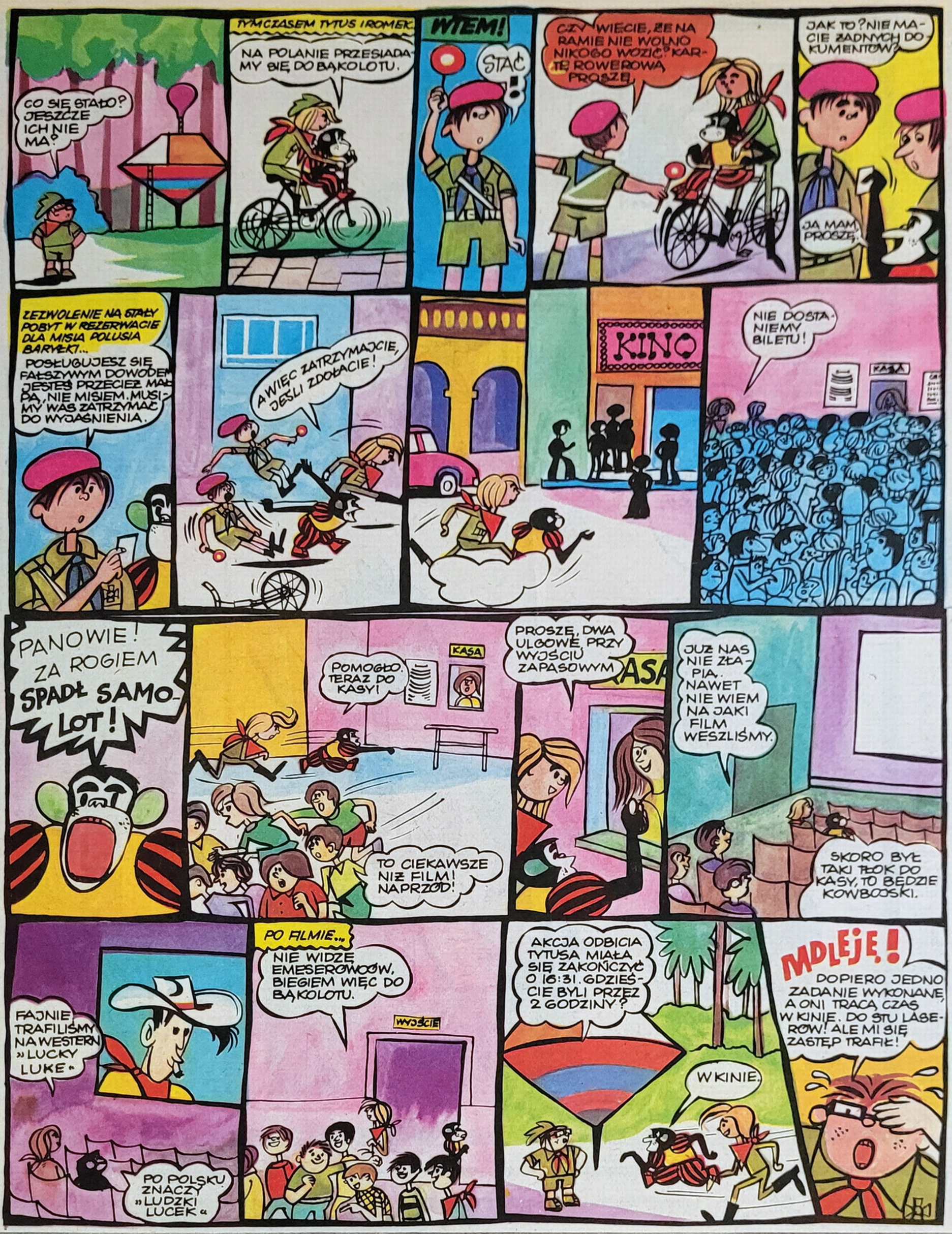

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczak, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—349 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-00-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 30 proc. droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa.

Opracowanie graficzne: Szarlota Paweł

Redakcja techniczna: Anna Berft

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 85/4314 B-90

Nr indeksu — 33039/33044

MACIEJ KUCZYŃSKI

ZWYCIĘZCA

16.

— Hm... — mruknął profesor, wjechał na plac Broni, okrążył go jadąc wzdłuż cienistych podcieni i zatrzymał przed bijącą fontanną. Przez szerokość placu potrzyli na portal katedry. Olbrzymia jak skała, porzeźbiona gzymsami i wsparta na filarach. W prześwitach wieżyc ciemniały sylwetki nieruchomych dzwonów.

— Jeżeli tak — powiedział śmiejąc się profesor — to zrobimy próbę. Jeżeli naprawdę jesteś twardy, przegrana nic ci nie zaszkodzi.

Rozstali się na kilka godzin, umawiając się na spotkanie w tym samym miejscu. Profesor zniknął, by załatwiać swoje sprawy. Alkad otrzymawszy w biurze bilet wstępu na uroczystość i zwrot kosztów podróży, dowiedział się też o miejscu i czasie zebrania alkadów. Resztę czasu spędzili chodząc wokół placu Broni, przystając przed sklepami ze srebrem i u drzwi hoteli, by popatrzeć na turystów wysiadających z lśniących autokarów. Wozy miały szyby wypukłe jak rozwarte oczy obramowane taśmami jasnego metalu.

Amaru opierał się nieco, gdy alkad, w coraz lepszym humorze, wciągnął go do sklepu, wysuplał portmonetkę z zanadrza i kupił białą koszulę sportową i niebieskie spodenki.

— Na koszt gminy — powiedział. — Niech tutaj nie myślą, że jesteś gorszy od nich tylko dlatego, że nie masz kostiumu.

W bocznej uliczce, na rogu, zobaczyli Indiankę podgrzewającą garnek na żelaznym piecyku. Podała im dwie miseczki z gliny i drewniane łyżki. Siedząc na brzegu chodnika zjedli zupę, pływały w niej krajane ziemniaki, ryż i złote ziarna kukurydzy. Wracali zaułkiem tak ciasnym, że obu ścian można było dotknąć wyciągając ramiona. Gromada gringos zamykała drogę tłocząc się między murami. Trzymali przy oczach aparaty i robili zdjęcia.

— Mur inkaski — powiedział alkad, oparł dłoń na blokach błękitnego granitu. Popatrz na tych ludzi, przyjeżdżają z całego świata — mówił z dumą — bo nigdzie indziej tego nie ma. Tu był plac Inki. Nie wsuniesz szpilki pomiędzy te głazy, chociaż tylko leżą na sobie bez żadnej zaprawy.

— Teraz na stadion — powiedział profesor, kiedy się znów spotkali.

Boisko otaczały nasypy z ubogiej ziemi, na ich pochyłości stały rzędy ławek. W drewnianym domku tłoczyło się kilkunastu młodych mężczyzn. Profesor Zuniga Roca podszedł do siedzącego przy stole zasłanym papierami.

— Nad czym tak pracujesz, Claudio? — spytał.

— A, to pan profesor! — rzekł młody człowiek wstając z miejsca. — Listy zgłoszeń — wyjaśnił. — Prawie stu zawodników.

— Prowadzę jeszcze jednego, zapisz — poprosił profesor. — Do biegu na pięć kilometrów. — Wypchnął Amaru do przodu. — Podaj wszystko, co trzeba.

Mężczyzna wyszukał właściwy arkusz z napisem u góry „Bieg na pięć tysięcy metrów". U spodu kolumny nazwisk dopisał liczbę 14. Dopiero teraz spojrzał na Amaru, przeniósł wzrok na profesora.

— Ja... — powiedział, odłożył długopis i wstał z krzesła. — Nie mogę tego zrobić — tłumaczył — to są zawody dla zrzeszonych w klubach zawodników.

— Tak — zgodził się profesor — ale zrób to dla mnie, Claudio.

— On może nawet nie dobiec do mety! — rzekł mężczyzna.

— I co z tego? — spytał profesor. — Co się stanie, jeśli ktoś przebiegnie tylko część trasy?

— Nic, ale on nie jest zawodnikiem — upierał się Claudio.

— Nie wystarczy, że ktoś chce biegać?

— Niby tak, a co mam wpisać do rubryki „przynależność klubowa"?

— Nic, kreskę!

Dokończenie na str. 7